81 LAT
CZWARTEK
UKAZUJE SIĘ OD 1945

12 marca 2026

NR 59 (18452)

Sport



Pokażcie coś szalonego

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575 Wydanie papierowe ISSN 0137-930



Tomasz Mucha

Z DRUGIEJ STRONY

Dziedzictwo ku nowemu

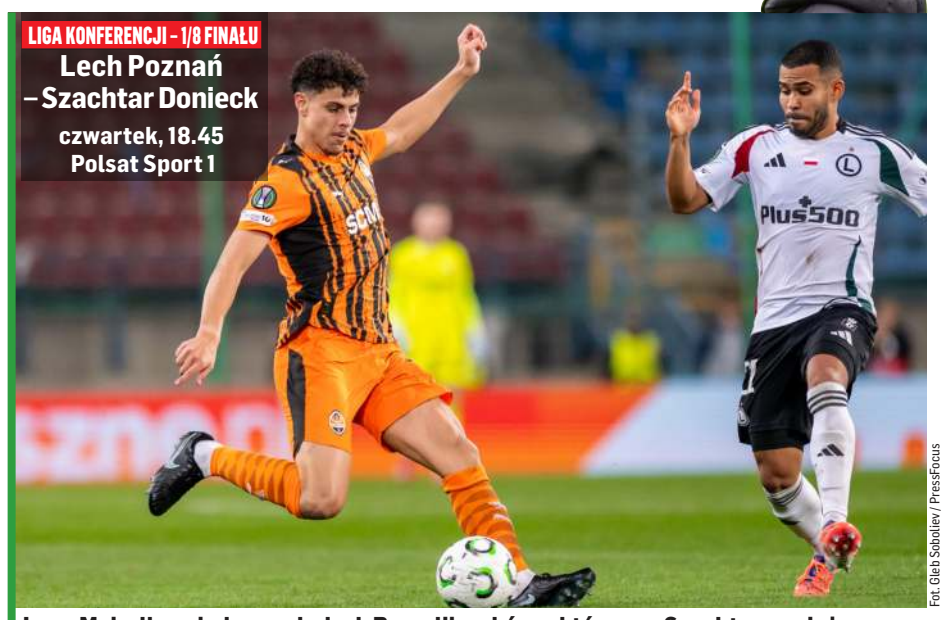
We wtorek uroczyście podziękowaliśmy w redakcji Andrzejowi Grygierczykowi i pożegnaliśmy go w roli redaktora naczelnego.
Skończyła się pewna epoka w historii „Sportu", którą swoim przywództwem i świetlistą postacią redaktor Grygierczyk niewątpliwie utożsamiał.
Andrzej to kawał historii naszej gazety, a obecnie aplikacji, świetny szef, dobry kolega, mentor dla takich jak ja 40-50-latków i wielu młodszych adeptów dziennikarstwa sportowego. W tym miejscu jeszcze raz chciałbym mu z całego serca podziękować, że wprawną ręką przeprowadził nasz zespół i sam tytuł przez rwące meandry ostatnich - niełatwych - lat dla prasy i szerzej - rynku mediów, w tym sportowych.
Nie oznacza to, że Andrzej się z nami i ze „Sportem" żegna. Wierzę w to, że nie tylko będzie nas często w redakcji odwiedzał, że będzie z nami nie tylko duchem w roli życzliwego - mam nadzieję - obserwatora, ale wciąż będzie regularnie gościł na naszych łamach. Bo wyważony, rozsądny i mądry głos Andrzeja Grygierczyka jest sportowi - i „Sportowi" - niezwykle potrzebny i powinien być wysłuchany. Zwłaszcza dzisiaj - gdy w natłoku wydarzeń, bardziej lub mniej mądrych opinii, a często fejków i zwyczajnych zmyśleń, w których można się pogubić - potrzeba Kogoś, kto nada temu głębszy sens i porządek albo przynajmniej zada te właściwe pytania. A na Andrzeja zawsze i tu można było liczyć. I ja wciąż na to liczę!
Wraz z redaktorem Grygierczykiem - jak już wspomniałem - coś się skończyło, ale na pewno nie przerwało. Czuję się jego nieodrodnym uczniem. Poczuwam sobie za zaszczyt, że miałem okazję uczyć się od niego, przyglądać, jak pracuje, jak odnosi się do współpracowników, być inspirowanym, a czasem - jak trzeba było - ustawianym do pionu. To były bezcenne lekcje zawodu, etycznej busoli, poszerzania intelektualnych horyzontów, a czasem po prostu życiowej kindersztuby. Jego dziedzictwo jest dla nas wektorem.
Mam w ogóle to szczęście, że wciąż w „Sporcie" pracuję ze swoim „zawodowym ojcem" - redaktorem Włodzimierzem Sowińskim. To Włodek w drugiej połowie lat 90., przyjmował mnie, beztroskiego studenta, do pierwszej pracy w dziale sportowym „Trybuny Śląskiej", zarażał pasją, sumiennością, obowiązkowością oraz standardami, które są w naszej profesji uniwersalne i którym staram się być wierny.
Dziś przejmuję schedę po redaktorze Grygierczyku z niekłamanym - nie ukrywam - przejęciem i w poczuciu dużej odpowiedzialności. Dziękuję za zaufanie naszemu Wydawcy, Ryszardowi Halembie. Wierzę, że wspólnie z moim zastępcą Dariuszem Leśnikowskim i wraz ze znakomitym, twórczym i pełnym pasji zespołem - złożonym z najwyższej klasy fachowców, autorów i felietonistów - wciąż będziemy zapewniać naszym Czytelnikom, oraz tym nowym, pożywkę w postaci najciekawszych i najlepiej podanych sportowych treści w Polsce.
„Sport" jest pionierską w tym kraju - od strony technologicznej - informacyjną platformą sportową, ale wciąż czerpiącą z bogatej, ponad 80-letniej tradycji. Tym bardziej nie może pozostać obojętny wobec wyzwań związanych z rzeczywistością cyfrową, z mediami społecznościowymi czy wdzierającą się wszędzie sztuczną inteligencją. Życzyłbym sobie, by „Sport" - szanując wiernych Czytelników - trafił też szeroko do nowego pokolenia kibiców, osób którym sport jest bliski, którzy pewnie jeszcze nie wiedzą, jak świetne i ciekawe rzeczy ich omijają, a które mogą znaleźć tylko u nas!
Wierzę, że moje łącznie 15 lat pracy w „Sporcie" - z dwuletnią przerwą, gdy na tytuł spoglądałem z pewnym dystansem - stanowi ugruntowaną wiedzę o mocnych stronach redakcji i jej bolączkach. Wierzę, że to wystarczająca legitymacja, by pokierować „Sportem" we właściwą stronę.
Zapewne niektóre rzeczy w „Sporcie" wkrótce odrobinę się zmienią, nabiorą innej dynamiki, zabrzmią wymowniej i głośniej - bo tego wymaga współczesność. Ale chcę jednocześnie zapewnić, że najważniejsze w „Sporcie" zawsze będą ciekawość, rzetelność, bohater i jego emocje oraz prawda - to, co przyświeca przez lata redaktorowi Andrzejowi Grygierczykowi.

Redaktor naczelny

Szachtar postraszy Brazylijczykami



Rozmowa z **Wałerijem Sokołenką**, byłym piłkarzem m.in. Górnika Łęczna i Polonii Bytom, obecnie trenerem JKS-u Jarosław



Fot. Gleb Sobolev / PressFocus

Luca Meirelles – jeden z młodych Brazylijczyków, z którym w Szachtarze wiążą nadzieję na... dobry transfer. Legii strzelił bramkę w Krakowie.

Śledzi pan zapewne rozgrywki ukraińskiej ligi i losy ukraińskich drużyn w pucharach?

- Owszem. Mam paru rodaków w mojej drużynie, byliśmy jesienią w Krakowie na meczu Szachtara z Legią w fazie zasadniczej Ligi Konferencji. I teraz też chcemy wybrać się na rewanżowy mecz Lechem.

Szachtar jest w 1/8 finału Ligi Konferencji, ale akurat meczu z Legią – o którym pan wspomniał – nie będzie dobrze wspominać. Co się wtedy stało?

- Szczerze mówiąc, byłem megazdziwiony, jak ten mecz wyglądał. Ja wiem, że trener Szachtara dokonał... bodaj jedenastu zmian w wyjściowym składzie w porównaniu do spotkania ligowego, ale i tak nie usprawiedliwiało to tego, jak słabo zagrała jego drużyna zwłaszcza w pierwszej połowie. A że Legia też prezentowała się słabo, z obu stron grano „na stojąco". W większości pucharowych gier Szachtar zresztą mocno rotował składem, bo rywali na tym etapie nie miał specjalnie mocnych i mógł sobie na to pozwolić. Trener dawał odpocząć największym gwiazdom.

A teraz już zobaczymy „pierwszy garnitur"?

- Myślę, że tak, skoro weszliśmy na etap „przegrywający odpada".

Czyli ewentualny triumf w Lidze Konferencji będzie mieć wartość dla Szachtara?

- Szachtar był pierwszą i jedyną ekipą ukraińską, która wygrała europejskie rozgrywki (Puchar UEFA w 2009 – dop. aut.), a w obecnej sytuacji taki triumf miałby też wielkie znaczenie propagandowe. W lidze krajowej ma sporą przewagę nad resztą stawki. Nie tylko w tabeli, ale i na boisku. Oglądam czasem statystyki z ligowych meczów Szachtara – przewagę w posiadaniu piłki zawsze ma znaczącą, podobnie jak w tworzonych sytuacjach bramkowych. A że ma też długą ławkę, może sobie pozwolić na roszady podczas gry na paru frontach. Tym bardziej że praktycznie pewne już krajowe mistrzostwo i tak da im prawo walki o Ligę Mistrzów, a na tym klubowi oczywiście najbardziej zależy. Decydująca faza Conference League będzie dobrym „przetarciem". No i to również okazja, by pokazać światu tych młodych Brazylijczyków, na których Szachtar od lat buduje swą politykę transferową: kupuje, ogrywa ich i sprzedaje z potężnym zyskiem.

Wartość 19-letniego Eliasa – najlepszego w tym sezonie strzelca - w ciągu roku wzrosła już dwukrotnie! To kolejny „młody czarodziej", którego Szachtar wypchnie w świat?

- Nie wiem. Pewnie na to liczą, choć wydaje mi się, że widziałem już w drużynie z Doniecka lepszych jego rodaków. Co oczywiście nie oznacza, że i na nim sporo nie zarobią za jakiś czas. Ale jeżeli przed kimkolwiek miałbym przestrzegać piłkarzy Lecha, to przede wszystkim przed Lassiną Traore. Wrócił po bardzo długiej przerwie spowodowanej kontuzją, ale niemal od razu zaczął zdobywać gole (cztery w trzech meczach ligowych – dop. aut.). Jest w formie, a dzięki jego obecności na boisku cała drużyna – mam wrażenie – złapała luz w grze.

Gdy patrzy się na wartość zespołu Szachtara na portalu Transfermarkt - 165 mln euro, cztery razy więcej niż Lech – to trudno poznaniakom wieszczyć sukces...

- Lech na pewno będzie mieć w meczu przy Bułgarskiej atut w postaci kibiców, a pewnie i do Krakowa wybierze się ich spora grupa.

Ale w ekstraklasie Kolejorz gra w kratkę.

- W niektórych meczach – mam wrażenie – przeszkadzało Poznaniakom... boisko. Im więcej masz dobrych technicznie, ofensywnie grających zawodników, tym większe znaczenie ma stan murawy. A Mikael Ishak czy Ali Gholizadeh naprawdę złapali wielką formę. Dwumecz będzie ciekawy, a ja będę na niego patrzeć m.in. pod kątem tego, jak poznańska młodzież w defensywie – bo przecież nawet najstarszy w tej formacji Robert Gumny wciąż jeszcze jest młody – będzie sobie radzić z brazylijską młodzieżą w ataku drużyny z Doniecka. Zresztą jestem ciekaw, jaki skład wystawi do gry trener Frederiksen, mając z tyłu głowy fakt, że między spotkaniami z Szachtarem jego zespół w lidze zagra z Zagłębiem – a patrząc na tabelę, nie może tej potyczki przegrać!

Jak – pana zdaniem – zagra Szachtar z Poznaniu?

- Zazwyczaj wychodzi na murawę z nastawieniem na wysoki pressing i próbę zdominowania przeciwnika – dlatego byłem taki zdziwiony, że z Legią zaczął tak... nijako. Donieccy Brazylijczycy – jak każdy zawodnik z tego kraju – lubią być przy piłce, raczej trudno ich zmusić do obrony.

Ale chyba ktoś nad nimi panuje, trzyma ich w ryzach?

- A przynajmniej próbuje (śmiech). Ja myślę, że bezcenny w tej roli – i nie tylko w tej – jest Mykoła Matwijenko, doświadczony stoper, kapitan ukraińskiej reprezentacji. W środku pola grą dyrygują Artem Bondarenko i Jegor Nazaryna. No i jest wspomniany Traore – kawał grajka.

A jak pan ocenia „eksperyment" z Ardą Turanem na trenerskiej ławce?

- Charakter ma oczywiście gorący, ale nawet... niespecjalnie kłóci się z sędziami. Na dodatek jego klubowa przeszłość piłkarska wiele wnosi do gry Szachtara. Z Atletico wziął ze sobą do Doniecka nieustępliwość i charakter, a z Barcelony – grę piłką, zawsze do przodu. W Ukrainie dobrze ocenia się jego pracę. Zresztą nie tylko tam. Chodzą pogłoski, że może zostać... następcą Diego Simeone w Madrycie!

Ma pan jakichś znajomych w Szachtarze jeszcze z czasów pańskiej gry w Ukrainie?

- Jednego, w marketingu. Natomiast u mnie w JKS-ie mam byłego bramkarza Szachtara. Maksym Guridow w grupach juniorskich grał m.in. z Matwijenką i Ołeksandrem Zinczenką.

To jeszcze na koniec pytanie, czy piłka jest wciąż ważna na Ukrainie, kiedy trwa wojna?

- Na pewno jest odskocznią od trudnej codzienności, jest chwilą – nie wiem, czy to dobre słowo... - „relaksu" dla ludzi. Coraz rzadziej mecze są przerywane alarmami lotniczymi, jest zgoda na liczniejszą niż kiedyś frekwencję. Wierzę mocno, że odbudujemy siłę naszej piłki. I że jeszcze wrócę kiedyś na odbudowany po bombardowaniach stadion Szachtara w Donieck.

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Sport 6445383896

Zostały dwa kroki

LIGA KONFERENCJI – 1/8 FINAŁU

Lech Poznań – Szachtar Donieck

czwartek, 18.45
Polsat Sport 1

Mistrzowie Polski chcą powtórzyć wynik z pucharowego sezonu 2022/23. Pomóc ma w tym nowa murawa.



Luis Palma jest jednym z zawodników, którzy w rywalizacji z Szachtarem muszą wziąć grę na swoje barki.

Fot. Artur Kraszewski/PressFocus

LECH POZNAŃ

Piłkarze Lecha przystąpią do czwartkowej rywalizacji z Szachtarem Donieck po dwóch porażkach z rzędu. Najpierw odpadli z Górnikiem Zabrze w Pucharze Polski, a w weekend doznali porażki z Widzewem w Łodzi, pomimo tego że prowadzili 1:0. Ukraiński zespół zawiesi poprzeczkę jednak znacznie wyżej.

Druga taka rywalizacja

Choć polskie kluby wielokrotnie rywalizowały z ukraińskimi zespołami, dla Lecha mecz z Szachtarem będzie dopiero drugą oficjalną konfrontacją z drużyną z tego kraju. Dotychczasowe jedyne starcie jest wspominane bardzo dobrze, choć minęło od niego już sporo czasu.

W sezonie 2010/11 Kolejorz, prowadzony przez trenera Jacka Zielińskiego, odpadł w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów ze Spartą Praga i w ostatniej rundzie walczył o awans do fazy grupowej Ligi Europy. Rywalem był nieistniejący już dziś Dnipro Dniepropietrowsk. Mistrzowie Polski wygrali ten dwumecz 1:0, a następnie toczyli pamiętne pojedynki z Manchesterem City, Juventusem Turyn oraz FC Salzburg.

Jednak Lech wielokrotnie mierzył się z Szachtarem w meczach towarzyskich. Tych spotkań nie może jednak wspominać najlepiej, ponieważ najczęściej schodził z boiska pokonany. Ostatni taki sparing odbył się w styczniu 2024 roku podczas zgrupowania w Turcji, a Kolejorz przegrał wówczas z ukraińskim zespołem 1:3.

Powtórka z historii?

W klubie chętniej wraca się wspomnieniami do sezonu 2022/23. Lechici po pokonaniu szwedzkiego Djurgardens IF w 1/8 finału Ligi Konferencji awansowali do ćwierćfinału tych rozgrywek. Bój z Fiorentiną, choć niezwykle heroiczny, zakończył europejską przygodę Poznaniaków. Mimo to tamta kampania na długo pozostanie w pamięci kibiców.

W czwartek piłkarze trenera Nielsa Frederiksena będą chcieli po raz kolejny napisać historię i powtórzyć wyczyn ze wspomnianych rozgrywek. Duński szkoleniowiec także ma wewnętrzną ambicję - będzie to dla niego pierwszy w karierze trenerskiej mecz na poziomie 1/8 finału europejskich pucharów. Frederiksen chce zajść jednak dalej. – Mamy szansę awansować do ćwierćfinału. Czeka nas trudne spotkanie z wymagającym rywalem, który szczególnie dobrze wygląda z piłką przy nodze. Możemy zranić Szachtar, ale musimy dobrze zagrać – przyznał szkoleniowiec.

Piłeczka ma chodzić

Stadion w Poznaniu jest przeklęty, przynajmniej jeśli chodzi o murawę, która niemal co sezon musi być wymieniana. Wynika to z konstrukcji obiektu, gdzie przepływ powietrza jest słaby i nie wszędzie dochodzi słońce. Już w listopadzie podczas przerwy na kadrę klub dokonał wymiany, a kolejna miała być przed następnym sezonem. Ciężkie warunki pogodowe pod koniec stycznia sprawiły jednak, że nawierzchnia została zniszczona i już się nie odbudowała. Z tego powodu podjęto decyzję, że etapami, ale po raz kolejny zostanie wymieniona. Pierwszy jej test nadejdzie właśnie dzisiaj w meczu z Szachtarem.

I chociaż nie jest ona jeszcze gotowa w stu procentach, to ma ułatwić zadanie mistrzom Polski. Nie będzie mniejszych czy większych dołków, które powstawały przy niemal każdym sprincie zawodników. Trener Frederiksen wielokrotnie podkreślał, że pełny potencjał jego zespołu zostanie uwolniony nalepszych murawach. Lechici chcą grać szybko i wymieniać dużo krótkich podań. Kolokwialnie mówiąc, piłeczka ma chodzić jak po sznurku, a do tego potrzebne są warunki, żeby futbolówka co chwilę nie skakała na nierównościach. Czy tak będzie? Przekonamy się wieczorem.

Miłosz Cebo

Nic do stracenia

Raków spróbuje pomścić Jagiellonię i wyeliminować mającą duże problemy Fiorentinę. Zadanie jest jednak wyjątkowo trudne.

1/8 FINAŁU LIGI KONFERENCJI

ACF Fiorentina – Raków Częstochowa

czwartek, 12 marca, godz. 20.50, Polsat Sport 1

LIGA KONFERENCJI

Jeszcze przed losowaniem rywala w 1/8 finału nastroje przy Limanowskiego były takie, że trafienie na Włochów będzie tożsame z bardzo prawdopodobnym zakończeniem pięknej europejskiej przygody – nawet bowiem drużyna z ogona Serie A wydawała się poza zasięgiem Częstochowian. Morale zdecydowanie poszło jednak w górę po niedzielnym meczu z Pogonią (2:0), a szanse oceniane są nawet 50 na 50. - Jedziemy tam zagrać dobry mecz, a jeśli to się uda, to powinniśmy przywieźć dobry wynik. Nie mamy absolutnie nic do stracenia. Cały czas wierzymy w naszych chłopaków, a oni też są zmotywowani, czując, że sportowo idą w górę. Przyznam, że nie możemy się już doczekać, aby wybiec na murawę Stadio Artemio Franchi, bo po to jest się w piłce, aby grać mecze o taką stawkę – mówi nam wiceprezes częstochowskiego klubu, Dawid Krzętowski.



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Raków miał już okazję zagrać z włoskim klubem. W sezonie 2023/24 rywalizował w Lidze Europy z Atalantą Bergamo (0:4, 0:2).

Jaga dała przykład

Optymizmem napawać może również postawa Jagiellonii w poprzedniej rundzie, która po pierwszym przegranym u siebie 0:3 spotkaniu potrafiła we Florencji odrobić straty i doprowadzić do dogrywki. - Jaga pokazała, że można Fiorentinie strzelać bramki na jej terenie i udowodniła, że jest to drużyna jak najbardziej do „ugryzienia". Nie ma jednak też za bardzo co wracać do tamtego meczu, musimy patrzeć na siebie. Mecz meczowi jest nierówny, to frazes, ale wiemy, że taka jest prawda. To mogą być zupełnie inne spotkania niż te z udziałem Białostoczan – uważa nasz rozmówca.

Inne problemy

Fiorentina ma obecnie większe problemy na głowie niż Liga Konferencji, co również powinno być sporym sprzymierzeńcem Rakowa. Viola zajmuje aktualnie 17. miejsce w tabeli Serie A – ostatnie bezpieczne i ma zaledwie punkt przewagi nad będącym pod kreską Cremonese. W ostatnich dwóch ligowych meczach nie potrafiła zdobyć bramki i sięgnęła zaledwie po punkt – remisując bezbramkowo z Parmą oraz ulegając (0:3) Udinese. Utrzymanie w elicie jest dla klubu z Toskanii absolutnym priorytetem. Spadek do Serie B dla Fiorentiny byłby totalną katastrofą, po której mogłaby się nie podnieść. Czy to sprawi, że rywalizację z Rakowem może potraktować ulgowo i wystawić mocno rezerwowy skład? Trzeba pamiętać, że nawet jeśli tak się stanie, to „rezerwy" Violi i tak potrafiły wygrać trzema golami na Podlasiu.

Poza tym Fiorentina to wciąż dużo znaczący klub na Półwyspie Apenińskim, nawet jeśli obecnie przeżywa problemy, a Liga Konferencji to rozgrywki, z którymi bardzo się tam polubili dwukrotnie w ostatnich latach (2023, 2024),docierając do finału. Wartość kadry to blisko 248 mln euro (prawie sześć razy więcej od Rakowa). O skali trudności świadczy też fakt, że choć ekstraklasa niewątpliwie szybko się rozwija, a w rankingu UEFA zajmujemy bardzo wysokie 12. miejsce, to ostatni raz, gdy polskiemu klubowi udało się wyeliminować rywala z lig top 5 w fazie pucharowej europejskich zmagań, miał miejsce w sezonie 2003/04, a klubem, który tego dokonał był... Groclin Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski. Twór Zbigniewa Drzymały wyrzucał za burtę Pucharu UEFA Herthę Berlin oraz Manchester City, zatrzymując się dopiero na Bordeaux. Ewentualny sukces Rakowa miałby zatem naprawdę wielką wartość.

Puchar Polski? Później

PZPN nie wierzył chyba, że polskie kluby tak dobrze mogą łączyć grę na wszystkich frontach i półfinały Pucharu Polski wyznaczył... w tym samym terminie co ćwierćfinały Ligi Konferencji. Czy wiadomo już kiedy Raków zagra z GKS-em Katowice jeśli poradzi sobie z ekipą Paolo Vanoliego? – Na razie w ogóle o tym nie myślimy. Przyjęliśmy zasadę koncentrowania się tylko na najbliższym meczu i teraz interesuje nas tylko Fiorentina – kończy Krzętowski.

Mariusz Rajek

Sport 6445383896

Nie porównujcie go do Papszuna!



Rozmowa z **Markiem Koźmińskim**, srebrnym medalistą igrzysk w Barcelonie, który dziesięć lat spędził na włoskich boiskach

1/8 FINAŁU LIGI KONFERENCJI
ACF Fiorentina – Raków Częstochowa
czwartek, 12 marca, godz. 20.50, Polsat Sport 1

Zaskoczył pana dwumecz Jagiellonii z Fiorentiną?
- Niekoniecznie. Fiorentina to nie jest dziś potęga we włoskim futbolu; to drużyna, która broni się przed spadkiem, więc nie demonizujmy drużyn z dołu tabeli Serie A. Jagiellonia przegrała pierwszy mecz u siebie przez epizod i pewną bojaźń przed renomowanym przeciwnikiem, po czym na wyjeździe dziewiętnastolatek strzelił Włochom trzy bramki! To nie jest drużyna pokroju Interu, Milanu, Napoli czy Juventusu. To jest drużyna, która posiada w składzie niezłych piłkarzy, ale będąca w ogromnym kryzysie.

Zawsze to jednak reprezentant Serie A!
- Kiedyś to była najsilniejsza liga świata, dzisiaj na pewno ustępuje i Premier League, i La Lidze. Już od wielu, wielu lat to nie jest chyba nawet pierwsza trójka w Europie.

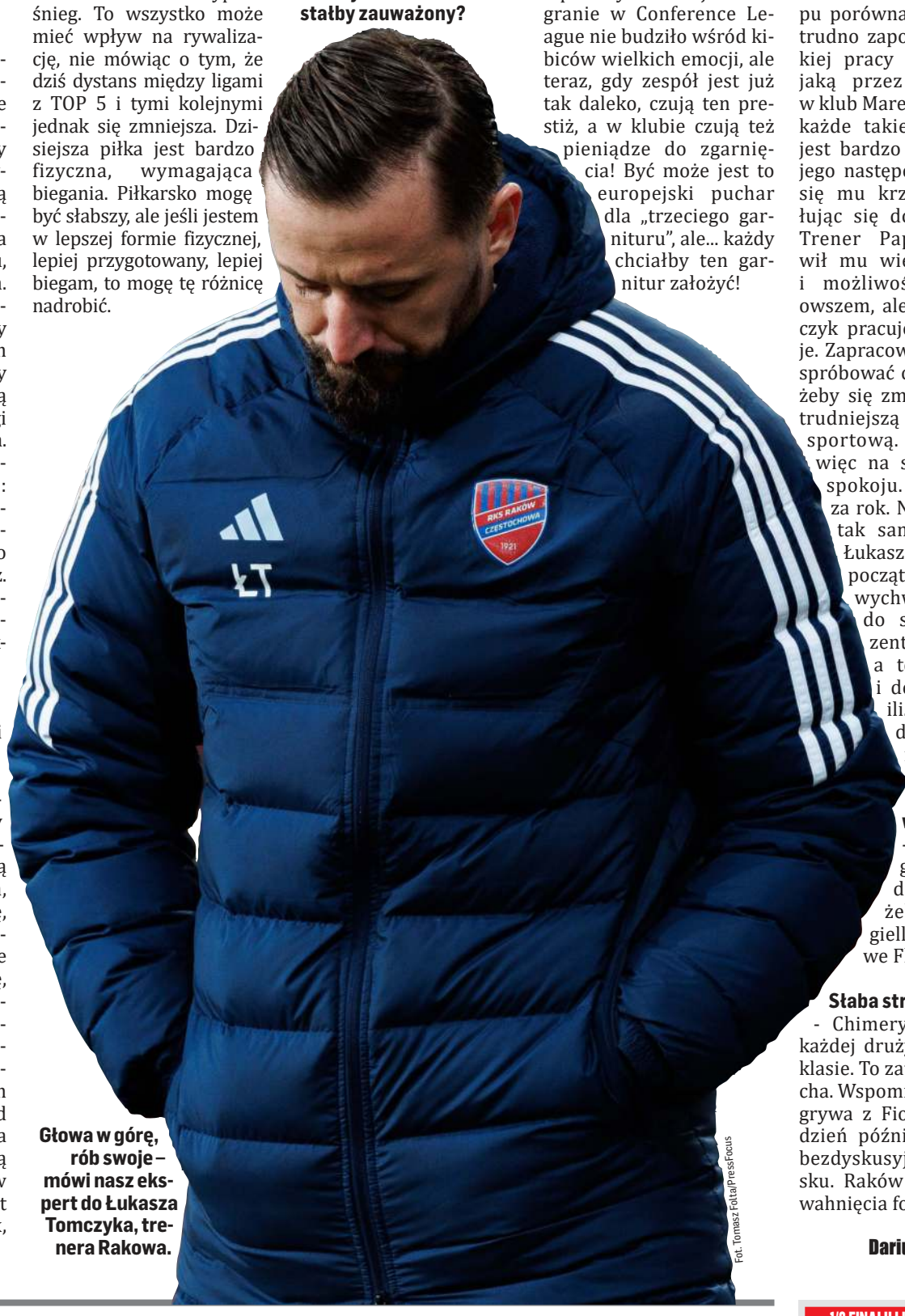
Kiedy jednak spojrzy się np. na portal „transfermakt", to tam kadra Fiorentiny jest wyceniana sześciokrotnie więcej niż kadra Rakowa. Czy faktycznie „Viola" jest sześć razy lepsza?
- Ależ skąd! Zawsze piłkarz, kimkolwiek by był, będzie wyceniany wyżej, jeśli gra Serie A, a nie w naszej ekstraklasie. Ten sam zawodnik w barwach Interu czy choćby Fiorentiny będzie w takiej wycenie więcej wart niż w koszulce Rakowa. Owszem, pieniądze w piłce są potrzebne, ale pieniądze nie grają. Jeżeli chce pan zapytać, czy Fiorentina będzie w dwumeczu faworytem, to odpowiem „tak". Ale jeżeli równocześnie zapyta pan, czy Raków ma szansę na wyrównaną walkę, to odpowiedź również brzmi „tak".

Skąd podstawy do takiej – optymistycznej dla Częstochowian – prognozy?
- Fiorentina posiada lepszych zawodników niż Raków i pewnie na dystansie całego sezonu, w rywalizacji ligowej, uplasowałaby się wyżej, ale – po pierwsze – to są puchary i to są tylko dwa mecze; więc decydować może dyspozycja w tym momencie sezonu, a nawet dyspozycja dnia. Po drugie - Fiorentina w Serie A cały czas walczy, żeby uciec spod gilotyny. W tym momencie ma punkt czy dwa przewagi nad strefą spadkową, ale przez długi czas się w niej plasowała. Kto więc może mieć odrobinę przewagi mentalnej: zespół walczący o pozostanie w Serie A czy o mistrzostwo w ekstraklasie? No i element trzeci: kalendarz. Nie pamiętam w tym momencie, z kim zespół z Florencji zagrać ma w weekend...

...z Cremonese!
- Ano widzi pan – czyli z bezpośrednim rywalem w walce o utrzymanie! Włosi będą mieć od w głowie myśl, że to niedzielny mecz będzie tym, w którym punkty liczyć się będą już nawet nie razy dwa, a razy trzy! Przypomnę, że wchodzimy w najgorętszy okres wiosny. Nie chodzi wyłącznie o ligę, ale i o przerwę reprezentacyjną, z meczami barażowymi o mundial. Nie zakładam, że Fiorentina zagra rezerwowym składem – zresztą cóż to jest „skład rezerwowy", gdy się ma tak długą i wyrównaną ławkę; ale może ten i ów będzie oszczędzany? I jest jeszcze jeden czynnik, rzadko brany pod uwagę.

Mianowicie?
- W czwartek we Florencji będzie 20 stopni ciepła, ale w rewanżu za tydzień temperatura może oscylować wokół zera i może sypać... śnieg. To wszystko może mieć wpływ na rywalizację, nie mówiąc o tym, że dziś dystans między ligami z TOP 5 i tymi kolejnymi jednak się zmniejsza. Dzisiejsza piłka jest bardzo fizyczna, wymagająca biegania. Piłkarsko mogę być słabszy, ale jeśli jestem w lepszej formie fizycznej, lepiej przygotowany, lepiej biegam, to mogę tę różnicę nadrobić.

Włosi mają drużyny w Lidze Mistrzów i Lidze Europy, czy więc ewentualny triumf Fiorentiny w Lidze Konferencji miałby znaczenie? Zostałby zauważony?
- Myślę, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat Fiorentina będzie mieć problem, by się do Ligi Mistrzów czy Ligi Europy załapać. Być może jesienne granie w Conference League nie budziło wśród kibiców wielkich emocji, ale teraz, gdy zespół jest już tak daleko, czują ten prestiż, a w klubie czują też pieniądze do zgarnięcia! Być może jest to europejski puchar dla „trzeciego garnituru", ale... każdy chciałby ten garnitur założyć!



Głowa w górę, rób swoje – mówi nasz ekspert do Łukasza Tomczyka, trenera Rakowa.

Fot. Tomasz Folta/PressFocus

Czy w Rakowie widzi pan już „piętno Łukasza Tomczyka" na drużynie zbudowanej przez Marka Papszuna?
- Zawsze unikam tego typu porównań. Oczywiście trudno zapomnieć o ciężkiej pracy – wybitnej – jaką przez lata włożył w klub Marek Papszun, ale każde takie porównanie jest bardzo uciążliwe dla jego następcy, wręcz robi się mu krzywdę, odwołując się do przeszłości. Trener Papszun zostawił mu wielkie pokłady i możliwości startowe, owszem, ale Łukasz Tomczyk pracuje już na swoje. Zapracował na to, żeby spróbować czegoś innego, żeby się zmierzyć z inną, trudniejszą okolicznością sportową. Dajmy mu więc na starcie trochę spokoju. Oceńmy go za rok. Na marginesie: tak samo patrzę na Łukasza Piszczka. Na początku wszyscy go wychwalali, nawet do sztabu reprezentacji wsadzali, a teraz – łatwo i dosadnie zgnoili. Popełnił błędy, ale kto ich nie popełnia?

Atut Rakowa?
- Potrafi zagrać naprawdę dobrze. Na tyle, żeby – jak Jagiellonia – wygrać we Florencji.

Słaba strona?
- Chimeryczność – jak każdej drużyny w ekstraklasie. To zatrważająca cecha. Wspomniana Jaga wygrywa z Fiorentiną, a tydzień później przegrywa bezdyskusyjnie w Gdańsku. Raków też ma takie wahnięcia formy.

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Przedwczesne oświadczenie

Łukasz Bejger regularnie gra w zespole lidera ligi słoweńskiej i został zauważony przez selekcjonera.

LIGA KONFERENCJI

Przez przypadek dowiedzieliśmy się o planach selekcjonera Jana Urbana na najbliższe zgrupowanie. Trener najprawdopodobniej zaskoczy nas premierowym powołaniem Łukasza Bejgera. Na to wskazuje wpis w mediach społecznościowych jego zespołu NK Celje, który przedwcześnie ogłosił powołanie obrońcy do biało-czerwonej kadry. Defensor jest podstawowym zawodnikiem lidera ligi słoweńskiej, a przy okazji gra z nim w Lidze Konferencji. Co ważniejsze – także w kontekście reprezentacji – może występować na kilku pozycjach. W tym sezonie w NK Celje grał nie tylko na środku obrony, ale także na lewej i prawej stronie defensywy.

Zanim jednak Bejger będzie mógł skupić się na powołaniu od trenera Urbana, musi w pełni skoncentrować się na grze na arenie międzynarodowej. Dziś NK Celje zagra z AEK-iem Ateny, z którym wygrało 3:1 w pierwszej kolejce fazy ligowej. Teraz będzie trochę trudniej, ponieważ Słoweńcy wpadli w dołek i w ostatnich dwóch meczach ligowych przegrali 0:1 z NK Bravo i 1:2 z NK Aluminij. Czy podniosą się w kluczowym momencie? Czy Bejger udowodni, że zasługuje na powołanie do reprezentacji?

Szansę gry w europejskich pucharach w końcu może otrzymać Maxi Oyedele. Pomocnik, który latem zamienił Legię Warszawa na Strasbourg, na początku sezonu doznał poważnej kontuzji mięśniowej. Z tego powodu ominęła go niemal cała runda jesienna. Do pełni sił powrócił dopiero w drugiej połowie lutego. Zagrał minutę w ligowym meczu z Lens (1:1), a w ostatni weekend wszedł na 12 minut rywalizacji z Auxerre (0:0). Widać więc, że klub jeszcze go nie przekreślił, a trener Gary O'Neil, który pracuje z zespołem od 7 stycznia, chce powoli wprowadzać go do gry. Przy korzystnym dla Strasbourga wyniku z HNK Rijeka, może rozegra pierwszy w tym sezonie mecz w Lidze Konferencji.

(kaj)

1/8 FINAŁU LIGI KONFERENCJI
Czwartek, 12 marca
HNK Rijeka – Strasbourg, Lech Poznań – Szachtar Donieck, AZ Alkmaar – Sparta Praga, Samsunspor – Rayo Vallecano (wszystkiego 18.45), Crystal Palace – AEK Larnaka, Sigma Ołomuniec – Mainz, Fiorentina – Raków Częstochowa, NK Celje – AEK Ateny (wszystkie 21.00).

Sport 6445383896

Wielka zagadka

Na etapie 1/8 finału Ligi Europy jedna z włoskich drużyn, w których grają Polacy, musi zostać wyeliminowana.

LIGA EUROPY

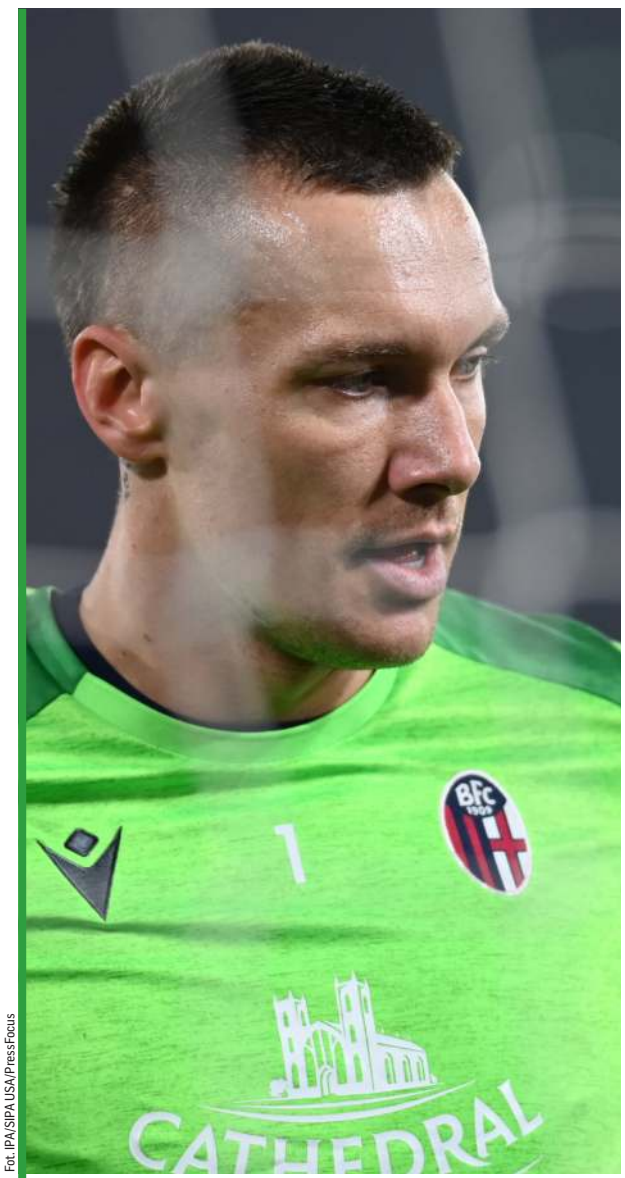
Czysto teoretycznie powinniśmy być dzisiaj świadkami meczu włoskich zespołów, w których wystąpią Polacy. W 1/8 finału Ligi Europy Bologna zmierzy się z Romą. To oznacza, że kipa Łukasza Skorupskiego podejmie zespół Jana Ziółkowskiego. I jak o występ 34-letniego bramkarza nie powinniśmy się obawiać, tak trudno przewidzieć, czy trener Rzymian Gian Piero Gasperini da szansę 20-letniemu obrońcy. Wszystko przez to, że Ziółkowski gra bardzo nieregularnie i trudno znaleźć jakąkolwiek wytyczną, którą kieruje się szkoleniowiec. Pod koniec stycznia defensor zagrał bardzo dobry mecz z Panathinaikosem, zdobywając bramkę na wagę punktu (1:1). Od tego momentu... zagrał 11 minut w Serie A, wchodząc z ławki w zaledwie dwóch meczach. Czy więc zagra w Lidze Europy, w której do tej pory wystąpił w czterech meczach, dwa razy w pierwszym składzie? Na to pytanie na razie nie ma odpowiedzi.

Na pewno dziś nie zobaczymy w akcji Oskara Pietuszewskiego, który w miniony weekend świetnie zaprezentował się w ligowej rywalizacji z Benficą (2:2), zdobywając pięknego gola, przy którym ograł doświadczonego Nicolasa Otamendiego. Smoki nie zgłosiły jednak skrzydłowego do europejskich zmagań z powodu dużej liczby transferów zimowych. Pietuszewski nie załapał się na ograniczoną listę, a władze Porto zapewne już żałują tej decyzji, gdy patrzą na to, jak radzi sobie 17-latek. W meczu ze Stuttgartem powinniśmy natomiast zobaczyć dwóch defensorów portugalskiej ekipy – Jana Bednarka oraz Jakuba Kiwiora, którzy nadal pozostają silnymi ogniwamipodstawowej jedenastki. **Kacper Janoszka**

1/8 FINAŁU LIGI EUROPY

Czwartek, 12 marca

Stuttgart – Porto, Bologna – Roma, Panathinaikos – Betis, Lille – Aston Villa (wszystkie 18.45), Nottingham Forest – Midtjylland, Genk – Freiburg, Ferencvaros – Braga, Celta – Lyon (wszystkie 21.00).



Fot. IPA/SIPA USA/PressFocus

Łukasz Skorupski będzie próbował powstrzymać Romę.

Urugwajski pokaz magii

Fede Valverde samodzielnie ograł Manchester City, zdobywając hat trick w pierwszej połowie.

LIGA MISTRZÓW

Występ kapitana Realu Madryt Fede Valverde w rywalizacji z Manchesterem City był czymś niesamowitym. Ci, którzy oglądali Urugwajczyka z trybun, byli świadkami trudnego do powtórzenia zdarzenia. Valverde, który nie jest napastnikiem, w pierwszej połowie ustrzelił hat trick. Wziął odpowiedzialność na swoje barki, podobnie jak w poprzedni weekend, w ligowej rywalizacji z Celtą, gdy w doliczonym czasie zapewnił Królewskim zwycięstwo. Tym razem jednak nie chodziło tylko o gole. 27-latek rozegrał perfekcyjną pierwszą połowę. Defensorzy Obywateli przeżyli bardzo trudny dzień w pracy, bo piłkarz Realu bawił się z nimi, choć im wcale nie było do śmiechu. Najlepszym podsumowaniem występu Valverde był trzeci zdobyty przez niego gol, gdy w polu karnym przerzucił piłkę nad jednym z defensorów, a następnie oddał strzał nie do obrony. Trudno wyobrazić sobie lepsze 45 minut w wykonaniu jednego zawodnika. Valverde był iluzjonistą i zaczarował stadion Santiago Bernabeu. Przestało mieć nawet znaczenie to, że po zmianie stron Vinicius nie wykorzystał rzutu karnego. To Valverde był pierwszoplanowym aktorem, który sprawił, że niewidoczny był brak kontuzjowanego snajpera Kyliana Mbappe. To dzięki niemu Los Blancos są w fantastycznej pozycji przed rewanżem w Manchesterze.

- **Bayer Leverkusen – Arsenal 1:1 (0:0)**
  1:0 – Andrich (46), 1:1 – Havertz (89, karny)
- **Bodo/Glimt – Sporting Lizbona3:0 (2:0)**
  1:0 – Fet (32, karny), 2:0 – Blomberg (45+1), 3:0 – Hogh (71)
- **PSG – Chelsea 5:2 (2:1)**
  1:0 – Barcola (10), 1:1 – Gusto (28), 2:1 – Dembele (40), 2:2 – E. Fernandez (57), 3:2 – Vitinha (74), 4:2 – Kwaracchelia (86), 5:2 - Kwaracchelia (90+4)
- **Real Madryt – Manchester City 3:0 (3:0)**
  1:0 – Valverde (20), 2:0 – Valverde (27), 3:0 – Valverde (42)



Fot. PAP/EPA

Trzy palce w górze symbolizują liczbę goli zdobytych przez Fede Valverde.

Nadal wygrywają

Czujni obserwatorzy Ligi Mistrzów czekają na potknięcie Bodo/Glimt. Norwegowie wbrew logice pokonują bardziej utytułowane zespoły, grające w wielkich ligach. W tym roku w fazie ligowej wygrali z Manchesterem City (3:1) i Atletico Madryt (2:1). Później w play offie wyeliminowali Inter Mediolan, wygrywając w dwumeczu 5:2. Z każdym kolejnym meczem wydaje się, że ich fantastyczna passa powinna zostać przerwana, a oni... dalej zwyciężają. O sile Skandynawów przekonali się wczoraj piłkarze Sportingu, którzy na sztucznej murawie na stadionie w miejscowości Bodo. Lizbończycy po pierwszej połowie przegrywali 0:2 po bramkach Sondre Feta (z rzutu karnego) i Ole Blomberga. Na tym jednak gospodarze się nie zatrzymali. Gdy trener Sportingu Rui Borges próbował ratować wynik trzema zmianami, Bodo/Glimt myślało o tym, jak podwyższyć prowadzenie. I to mu się udało! Spotkanie zakończyło się zwycięstwem Norwegów 3:0.

Błąd bramkarza

Wyrównaną rywalizację prowadziły drużyny PSG i Chelsea. Na Parc des Princes w pierwszej połowie gospodarze dwukrotnie wychodzili na prowadzenie. Najpierw piękną bramkę zdobył Bradley Barcola, uderzając mocno pod poprzeczkę. Później wyrównał Malo Gusto, który był zupełnie niepilnowany w polu karnym. W końcu gola do szatni zdobył Ousmane Dembele. The Blues wyszli jednak na drugą połowę zmotywowani, dzięki czemu po raz drugi do wyrównania doprowadził Enzo Fernandez. Chelsea miało spokojnie dograć mecz do końca, a skomplikowało sobie życie. Trener Liam Rosenior postanowił w pierwszym składzie dać szansę rezerwowemu bramkarzowi Filipowi Jorgensenowi. Szkoleniowiec w ostatnim kwadransie pożałował decyzji o posadzeniu na ławce Roberta Sancheza. Duńczyk w niewytłumaczalny sposób, będąc pod presją, podał piłkę rywalowi. Efektem tego był spokojny strzał Vitinhi, który po raz trzeci dał prowadzenie PSG. Po tym ciosie gra The Blues załamała się, a na „do widzenia" dobił ich Chwicza Kwaracchelia. Zdobył dwa gole, ustalając wynik rywalizacji na 5:2.

Seria przerwana

Niespodziewanie Arsenal po raz pierwszy w trwającej edycji Ligi Mistrzów nie wygrał! Bayer Leverkusen okazał się zbyt silny. Przed własną publicznością niemiecka ekipa postawiła przyjezdnym z Londynu bardzo wysoko poprzeczkę. Zaraz na początku pierwszej połowy gola zdobył Robert Andrich. Kapitan zespołu wykorzystał złe ustawienie ekipy Mikela Artety przy stałym fragmencie. Przy dośrodkowaniu z rzutu rożnego był niepilnowany i spokojnie wpisał się na listę strzelców. Serca kibiców Arsenalu stanęły i w takim stanie utrzymywały się przez dłuższy moment, bo ich ulubieńcy nie potrafili doprowadzić do wyrównania. Kanonierzy uratowali punkt dopiero na kilka minut przed ostatnim gwizdkiem. Pomógł im w tym zespół sędziowski, który dopatrzył się faulu w polu karnym na Nonim Madueke. Rezerwowy wbiegł w pole karne i padł jak rażony prądem, przedstawiając swoje niebanalne umiejętności aktorskie. To wystarczyło arbitrom do tego, żeby podyktować rzut karny. Gola na 1:1 z 11 metra zdobył Kai Havertz, człowiek, który z Bayeru wypłynął na szerokie wody europejskiego futbolu. W 2020 roku został sprzedany przez klub z Leverkusen do Chelsea za 100 milionów euro. Tak właśnie spotkanie zakończyło się remisem i fenomenalna seria Arsenalu została zatrzymana.

Kacper Janoszka

Sport 6445383896

Cios między słupkami

Piast do końca sezonu będzie walczył o utrzymanie, a w tym boju już na pewno nie pomoże jedna z czołowych, być może najważniejsza postać – Frantiszek Plach.

PIAST GLIWICE

Gliwicki zespół w tym sezonie gra falami, ma ogromne problemy z ustabilizowaniem formy, ale na tym futbolowym, niespokojnym, ligowym morzu jasno świeciła latarnia w postaci doświadczonego golkipera. Frantiszek Plach, rozgrywający 8. sezon przy Okrzei, wielokrotnie ratował drużynę, albo przed porażką, albo przed utratą jakże cennych punktów. Kibice Piasta mogli mieć zastrzeżenia do wszystkich formacji, praktycznie do wszystkich piłkarzy, ale o obsadę bramki nikt się nie musiał martwić. Od środy lęk o obsadę między słupkami jest największy, bo Plach zakończył przedwcześnie i nieszczęśliwie sezon.

Operacja i koniec sezonu

„Frantisek Plach doznał urazu kolana i nie będzie do dyspozycji sztabu szkoleniowego w najbliższych miesiącach. Podczas jednego z treningów Słowak doznał bardzo pechowego urazu kolana. Jeszcze w tym tygodniu, w czwartek nasz bramkarz przejdzie operację. To długoterminowa kontuzja, która wykluczy go z gry na kilka miesięcy. Fero, jesteśmy z Tobą i mocno trzymamy kciuki za Twój szybki powrót do gry!" – komunikat, który pojawił się na stronie klubowej uderza obuchem w kibiców, którzy wierzyli i pewnie nadal będą wierzyć w skuteczną obronę ligowego bytu. Teraz jednak ta walka będzie znacznie trudniejsza. 34-letni Plach, który ma na karku 264 mecze rozegrane dla klubu z Gliwic, był i jest nie tylko czołową postacią drużyny, ale i ligi. Świadczą o tym suche fakty i statystyki, które umieszczamy w ramce obok tekstu. „Fero", który praktycznie przez cały swój pobyt w Piaście prezentował równą i świetną formę, to nadal ligowy top. Wielu ekspertów dziwiło się, że ten cichy i skromny Słowak od tylu lat nie rusza się z Gliwic, w których mu po prostu dobrze i w których jest doceniany jak nigdzie. O możliwym transferze myślało wielu, ale on wraz z rodziną został na Górnym Śląsku. W tym czasie nie miał większych problemów ze zdrowiem, ani z miejscem w składzie.

Ratunkiem transfer medyczny?

Trener bramkarzy Piasta, Mateusz Smuda, wielokrotnie pytany przez nas o sposób na utrzymanie takiej formy u Placha, zawsze odpowiadał tak samo: to profesjonalista w każdym calu, ale też konkurencja na treningach sprawia, że nie może pozwolić sobie na słabość. Podobnie sądzi Jakub Szmatuła, były świetny golkiper Piasta, a obecnie członek sztabu szkoleniowego zespołu z Okrzei. Dziś oni wraz z trenerem Danielem Myśliwcem i władzami klubu muszą znaleźć najlepsze awaryjnej rozwiązanie. Uraz kolana Placha sprawia, że Piast może skorzystać z opcji tzw. transferu medycznego, czyli dodatkowego ściągnięcia do klubu bramkarza z innego klubu lub pozostającego bez kontraktu. Opcji jest dużo i niedużo, bo sprawa może rozbić się o finanse lub o pomoc rywalowi w walce o utrzymanie. Istnieje też opcja, że numerem jeden do końca sezonu pozostanie Karol Szymański. 32-latek rozegrał do tej pory 21 meczów dla Piasta, w których zachował 12 czystych kont i przepuścił 16 goli. Problemem jest jednak to, że ostatnio grywał jedynie w sparingach i w Pucharze Polski. Poza nim w kadrze Piasta są jedynie bardzo młodzi bramkarze. W walce o utrzymanie jeden błąd może kosztować bardzo wiele. W Piaście ten margines błędu robi się jeszcze węższy…

(KRIS)

PLACH W TYM SEZONIE:

2160 minut – 1. miejsce w ekstraklasie
991 podań – 1. miejsce
747 podań celnych – 1. miejsce
7 czystych kont – 2. miejsce
77 obronionych strzałów – 4. miejsce
3,21 obronionego strzału na mecz – 10. miejsce



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Kibice Piasta już w tym sezonie nie zobaczą Frantiszka Placha w akcji.



Fot. Odra Opole

Michał Feliks w piątym meczu w barwach Odry odblokował się.

Jak Feliks z popiołów

Od 0:2 do 3:2 dzięki zmianie dokonanej w przerwie meczu.

ODRA OPOLE

Na początek krótka lekcja historii. Feniks – mitologiczny ptak – uznawany był w starożytnym Egipcie za symbol odradzania się życia. Spalał się na stosie i odradzał po trzech dniach. Stąd powiedzenie: „Jak feniks z popiołów" oznaczające powstanie z całkowitej klęski.

Teraźniejszość i to ta piłkarska – przynajmniej dla kibiców Odry – zawiera się natomiast w słowach, w których zmieniliśmy jedną literkę: „Jak Feliks z popiołów". Feliks. Michał Feliks.

Przypomnijmy. Opolanie po dwóch bolesnych porażkach i zwolnieniu trenera Jarosława Skrobacza pojechali na mecz do Pruszkowa. Tam w niedzielnym spotkaniu ze Zniczem na przerwę schodzili, przegrywając 0:2. W dodatku grali słabo, a ich dorobek celnych strzałów w pierwszych 45 minutach zamykał się w cyfrze 1 (słownie jeden).

I nagle wszystko się zmieniło. Na drugą połowę trener Piotr Plewnia – prowadzący zespół Niebiesko-czerwonych – wprowadził bowiem do gry Michała Feliksa, a pozyskany zimą napastnik, 11 dni przed 27. urodzinami, zdobył 2 gole i poprowadził Odrę do zwycięstwa 3:2!

18 goli jesienią

To nie były zwykłe gole, o czym świadczy niesamowita radość strzelca. Żeby go zrozumieć, dodajmy, że piłkarz mający na swoim koncie 33 występy w ekstraklasie, w której zdobył 6 bramek, rundę jesienną – po powrocie z wypożyczenia do Warty Poznań – spędził w Wieczystej Kraków, w IV-ligowych rezerwach. W pierwszym zespole „krezusów" spod Wawelu zagrał tylko drugą połowę i dogrywkę pucharowego starcia z Olimpią Grudziądz. Wprawdzie wykorzystał karnego w konkursie „jedenastek" decydujących o awansie, ale krakowianie przegrali 5:6. Owszem, na boiskach IV ligi wychowanek Cracovii imponował skutecznością i z 18 golami nadal jest liderem klasyfikacji snajperów, ale po przeprowadzce do Odry, z którą 8 stycznia podpisał 1,5-roczny kontrakt z opcją przedłużenia o 12 miesięcy, potrzebował czasu na aklimatyzację.

W jedenastce kolejki

Mimo że do zespołu wprowadził go znajomy trener, bo pod wodzą Jarosława Skrobacza Feliks grał i strzelał gole dla Ruchu, z którym wywalczył awans, i w którym grał w ekstraklasie, a w dodatku z czasów pobytu w Chorzowie znał też Szymona Kobusińskiego, to początki były trudne. Zaczęło się wprawdzie od pełnego meczu na inaugurację, ale z każdym spotkaniem liczba minut spędzonych na boisku malała, aż wreszcie wypadł z jedenastki i został na ławce rezerwowych. Na niej zostawił go także Piotr Plewnia w swoim „comebacku", ale to właśnie „nowy" szkoleniowiec Odry sprawił, że zawodnik zasłużył na „Feliksa".

Co prawda napastnik Odry za grę w Pruszkowie nie otrzyma prestiżowej nagrody filmowo-muzycznej, ale za to za swoje pierwsze gole dla drużyny, dające jej zwycięstwo, został wybrany do „Jedenastki kolejki". Co najważniejsze – w 72 minucie oraz w doliczonym czasie pokazał kibicom, że potrafi być snajperem.

Z optymizmem naprzód

– To normalne, że w piłkarskiej przygodzie zdarzają się gorsze momenty i mierzą się z nimi wszyscy zawodnicy na różnych etapach swoich karier – powiedział w klubowych mediach bohater meczu w Pruszkowie. - Ja w trudnych sytuacjach staram się nastawiać głowę tylko na to, na co mam wpływ. Cały czas trenuję, a gdy „nie idzie", to nawet jeszcze mocniej niż zwykle i staram się myśleć pozytywnie. Znam swoją wartość i wiem, na co mnie stać. Jeśli zawodnik w gorszych momentach odpuszcza na treningach, to zawsze źle się później kończy. Ja zawsze staram się patrzeć z optymizmem naprzód. Kiedy wchodzę na boisko, zawsze daję z siebie wszystko. Czasem są lepsze mecze, czasem gorsze, ale ten charakter i to, że nie odpuszczam, zawsze we mnie jest. To jest fundament, żeby potem przeżywać pozytywne momenty jak bramki czy zwycięstwa.

I o tym myślą kibice Odry przed następnym meczem Opolan już w niedzielę w Łodzi z ŁKS-em.

Jerzy Dusik

Sport 6445383896

Przełamanie klątwy

Rozmowa z **Bartłomiejem Gradeckim**, bramkarzem Ruchu Chorzów

Wygrane derby, a w nich czyste konto – czyli radość chyba podwójna.

– Tak, jak najbardziej, ale to zasługa wszystkich zawodników. Praca w obronie, determinacja przez 90 minut – tak to musi wyglądać w każdym meczu. Jeśli będziemy to robić, to czystych kont będziemy mieli jeszcze więcej. Natomiast wiadomo, że derbowa wygrana smakuje szczególnie – czy to w moim poprzednim klubie (Wisła Płock – przyp. red.), czy w Ruchu. Teraz to może nawet i tym bardziej, bo kibiców jest tu bardzo dużo, mają wielkie ambicje i mogliśmy się pocieszyć... no, chociaż ten jeden dzień, bo potem zaczęliśmy już myśleć o kolejnym meczu i kolejnej wygranej!

W Bytomiu akurat kibiców Ruchu nie było. Efekt kończącego się, trzymeczowego zakazu wyjazdowego...

– Teraz sytuacja w Polsce jest taka, że się nie wpuszcza kibiców i to jest bardzo niefajne. Nie będę już rozwijał tematu, bo wiadomo, o co chodzi. Grać w klubie, w którym jest rzesza kibiców, to świetne uczucie i duża duma. Nie ma nic przyjemniejszego niż słyszeć doping swoich kibiców, szczególnie po wygranej. Zapewnili nam przedmeczową eskortę i to było bardzo miłe zaskoczenie, gdy wysiedliśmy z autobusu i jeszcze bardziej nas pompowali do wygranej. Na pewno zapamiętam to do końca życia.

Ale Polonia nie zmusiła pana do jakiegoś szczególnego wysiłku między słupkami.

– No nie, nie było wielu sytuacji. Było sporo dośrodkowań, ale nie stwarzały one zagrożenia. Nasi stoperzy bardzo dobrze wybijali wysokie piłki. Jedyne groźne okazje Polonia miała w drugiej połowie, kiedy była boczna siatka i słupek, ale myślę, że mimo wszystko to było pod kontrolą, a gdyby leciało w bramkę – byłoby obronione.

Wspomniał pan derbowe klimaty z poprzedniego klubu – to kto najmocniej grzeje w Płocku?

– Myślę, że mecze z Legią. Oczywiście w poprzednim sezonie tych derbów nie było z wiadomych względów, ale teraz wróciły. To zawsze mocne napięcie, ale w poprzednim sezonie było tak również nawet wtedy, gdy przyjeżdżała Polonia Warszawa. To się chyba tyczy każdej drużyny z Mazowsza, która gra w Płocku.



Fot. Marcin Bulanda/Press Focus

W Bytomiu Bartłomiej Gradecki czwarty raz zachował czyste konto, choć... rywale niespecjalnie go zmęczyli.

W zeszłej rundzie czekaliście na wyjazdowe zwycięstwo aż do ostatniego meczu w Łęcznej. Teraz macie dwie kolejne wygrane poza domem, w Rzeszowie i w Bytomiu. Czyli coś drgnęło.

– Zdecydowanie tak! Często pojawia się tzw. klątwa meczów wyjazdowych, jeśli długo się nie wygrywa. Myślę, że trzeba było to przełamać przede wszystkim w głowie, że nieważne, czy gramy u siebie, czy na wyjeździe – każdy mecz trzeba wygrywać.

Szymon Szymański po spotkaniu w Rzeszowie wspominał o meczu założycielskim. Czy może to być powiązane z mocniejszym postawieniem na pragmatyzm?

– Myślę, że poniekąd też. Pragmatyzm to jedno, ale oprócz tego powiedzieliśmy sobie przed meczem, że bardzo mocno skupiamy się na defensywie, żeby nie było tylu błędów, żeby nie napędzać przeciwnika. W pierwszej połowie w Bytomiu była taka sytuacja, że akurat mnie piłka została pod nogą i właśnie takich rzeczy trzeba się wyzbywać. Nie chcę co prawda zrzucać wszystkiego na boisko, ale wiadomo, że gdy na co dzień trenuje się na naturalnym, to po przyjściu na sztuczne jest delikatna różnica. Najważniejsze jest jednak to, że po tej sytuacji Polonia nie stworzyła żadnego zagrożenia. Bardzo dobrze graliśmy w kompakcie i utrzymaliśmy to do końca meczu.

Strata do wicelidera to tylko 4 punkty, poza tym nie wiadomo, jakimi konsekwencjami będzie dotknięta Wisła Kraków i czy nie wywołają one jakiegoś efektu domina. Czy wy też bierzecie pod uwagę takie aspekty, gdy patrzycie na tabelę?

– Nie można patrzeć na innych i na tabelę, bo jest ona bardzo ciasna – czy to do góry, czy do dołu, bo tamte drużyny także zaczęły wygrywać. To nie ma znaczenia. My musimy każdy mecz wygrywać. Nie liczy się jak; czy będziemy grali pięknie, czy brzydko, bo to wynik idzie w świat. Najważniejsze na koniec są zawsze 3 punkty i czyste konta.

No właśnie, wasz kolejny rywal, Stal Mielec, odniósł teraz dwa zwycięstwa, na które czekał od sierpnia. Podchodzicie do tego meczu ze spokojem, czy bardziej ze świadomością, że będzie trudno?

– Do każdego spotkania trzeba podchodzić ze spokojną głową, bo tylko spokój nas uratuje. Stal wygrała dwa mecze, więc jest na fali wznoszącej, ale... my również. Przyjeżdża do nas, a to nie jest łatwy teren. Musimy narzucić własną grę, prezentować się odpowiedzialnie, zdobyć pierwszą, drugą bramkę, może nawet trzecią – i dowieźć zwycięstwo.

Na koniec zadam może mniej przyjemne pytanie. W poprzednich meczach zdarzały się panu momenty, można chyba rzec, braku koncentracji – gdy piłka zostawała przy nodze, napastnik pressował, robiło się gorąco. W Siedlcach popełnił pan też błąd przy drugim golu, źle się ustawiając. Coraz więcej osób zastanawia się, o co chodzi?

– Zgadza się, były takie momenty, po których poprzednie drużyny się napędzały. Nie były to braki koncentracji, ale braki przemyślenia. Po każdym naszym meczu przeciwnicy analizują to, jak rozgrywamy piłkę – analizowały więc to, jak gramy od tyłu, często „szyjemy" przez środek podaniami do „szóstek" i zaczęli nam to odcinać. Brakowało nam pomysłu albo zdecydowania; że jeżeli faktycznie nie idzie nam krótkie rozgrywanie, to warto przedłużyć piłkę na „dziewiątkę" i starać się szukać innych rozwiązań...Wracając jeszcze do poprzednich spotkań, to bardzo szkoda przede wszystkim meczu w Siedlcach, gdzie bardzo dobrze kontrolowaliśmy grę w pierwszej połowie. W drugiej też nieźle się to zaczęło, oczywiście pomijając strzał życia Damiana Jakubika. Myślę, że 9 na 10 prób, mówiąc śmiechem i żartem, lądowałoby na parkingu za stadionem, ale niestety w tym przypadku wpadło do siatki. Przy drugiej bramce jak najbardziej można było zrobić dużo więcej. Natomiast jeśli w tamtym meczu nawet byłby remis, to pozostałby duży niesmak, bo taką przewagę, jaką sobie stworzyliśmy, trzeba wykorzystywać, nawet jeśli musielibyśmy przepchnąć mecz. Dalej był mecz z Polonią, gdzie zawiodło właśnie to niezdecydowanie w rozgrywaniu. Oni szli bardzo mocno, a my ich ciągle napędzaliśmy i napędzaliśmy, co powodowało błędy. Szkoda, że nie udało się wyrównać, bo wróciliśmy z 0:3 na 2:3. To jednak nauczka na przyszłość. Trzeba iść do przodu. Zostało 10 kolejek, a to 30 punktów do zdobycia. Myślę, że nie ma co na razie patrzeć na baraże, bo i bezpośredni awans jest w zasięgu. Trzeba myśleć o jak najwyższych celach, bo jesteśmy w takim a nie innym klubie i musimy skupić się na wygrywaniu.

W połowie stycznia został pan ojcem i niektórzy pół żartem, pół serio mówili, że może... dzidziuś nie daje panu pospać.

– Eeee, nie, nie (śmiech). Mamy wszystko super zorganizowane. Wiadomo, że jest wielka zmiana, bo każdy, komu urodziło się dziecko, wie, że to nie jest proste, bo życie się zmienia. Wszystko jest jednak tak ustawione, że... moja partnerka niestety trochę bardziej cierpi, bo zostaje dłużej sama. W nocy czasami niestety muszę oddalić się do salonu (śmiech). Ale takie jest życie piłkarza, trzeba się poświęcić. Mam nadzieję, że los to wszystko odda i będzie tylko lepiej.

4
CZYSTE KONTA w 11 występach dla Ruchu zanotował Bartłomiej Gradecki. Było to w meczach z Puszczą Niepołomice, Górnikiem Łęczna, Stalą Rzeszów i ostatnio z Polonią Bytom.

Rozmawiał Piotr Tubacki

Sport 6445383896

Doktor Roha telefonuje z Londynu

Korespondentem „Sportu” z mundialu na angielskich stadionach była nietuzinkowa postać!

Futbol wrócił do Ojczyzny – takim hasłem reklamowano ósmy już czempionat globu, wciąż figurujący pod nazwą Pucharu Rimeta, który w lipcu 1966 roku rozegrano na Wyspach Brytyjskich.

Najsłynniejszy pies na świecie!

Decyzja o lokalizacji tego turnieju zapadła na kongresie FIFA w Rzymie w sierpniu 1960 roku. O organizację starały się też Niemcy Zachodnie i Hiszpania. Ten ostatni kraj wycofał swoją kandydaturę, a w decydującym głosowaniu członków Komitetu Wykonawczego FIFA, 31 wskazań padło na Anglię, a 20 na RFN czy NRF, jak u nas wtedy pisano o Niemczech Zachodnich.

Gospodarze starannie przygotowywali się do imprezy, acz nie obyło się bez skandalu. Pod koniec marca 1966, na trzy miesiące przed rozpoczęciem turnieju, złodzieje skradli z Westminsteru „Złotą Nike”! Zostawili znaczki warte trzy miliony funtów, zawrotną jak na owe czasy sumę, ale zabrali najcenniejszy piłkarski puchar. Do poszukiwań włączył się cały kraj, a bohaterem został… piesek rasy Collie. To on znalazł figurkę owiniętą w gazetowy papier w jednym z londyńskich parków! Jego pan otrzymał czek na 5 tys. funtów, a już po zakończeniu turnieju „Pickles”, bo takie było jego imię, został zaproszony z właścicielem na bankiet z okazji zdobycia przez „Synów Albionu” mistrzostwa świata, jak na razie jedynego w historii.

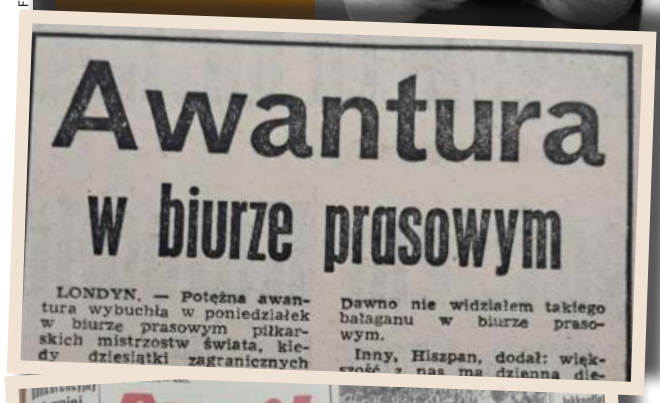
Najpierw tenis, potem piłka

Ostatnim sparingpartnerem drużyny prowadzonej wówczas przez Alfa Ramseya, tego samego, który zawalił Anglikom jako piłkarz mecz na MŚ w 1950 z USA, bo to po jego błędzie przegrali 0:1, co obwołano sensacją stulecia, była reprezentacja Polski. Wyspiarze przylecieli, żeby na Stadionie Śląskim zmierzyć się z Biało-czerwonymi 5 lipca, a więc na sześć dni przed inauguracją czempionatu globu. Po niezłej grze ulegliśmy wtedy późniejszemu mistrzowi świata 0:1, a zwycięską bramkę zdobył Roger Hunt. Legendarny napastnik Liverpoolu z trzema golami był potem jednym z najskuteczniejszych zawodników swojej reprezentacji, która w finale VIII MŚ pokonała po dogrywce RFN 4:2.



Fot. BBC

Pies rasy Collie, „Pickles” (Korniszon) - najsłynniejszy czworonóg w świecie futbolu, który w 1966 uratował honor Anglii!



Awantura w biurze prasowym

LONDYN. — Potężna awantura wybuchła w poniedziałek w biurze prasowym piłkarskich mistrzostw świata, kiedy dziesiątki zagranicznych

Dawno nie widziałem takiego bałaganu w biurze prasowym.

Inny, Hiszpan, dodał: więk-



Sport

wychodzi w poniedziałki, środy i piątki

Katowice

Anglia-NRF w finale

Sfaulowane „FAIR PLAY”

pod patronatem prezesa FIFA



Po koronacji nowego mistrza

Kropka nad „i” flirtu z Nike

Dr Jerzy Roha telefonuje z Londynu

LONDYN (tel. wł.). Zdawało by się, że już wszystko zostało powiedziane. Temat wydaje się jak zgłoda. Totez gdy nagle, kilka godzin temu, telefon z Kancelarii sprzejmie zawiadamia, że naczelny redaktor prosi o dalszy materiał — „No, więc pan ogólne refleksje i kropka nad „i” — stanąłem przed niemałym kłopotem. Prawdę mówiąc nie bardzo wiedziałem co

na 30—40 m, są znacznie bardziej szybcy, i twardsi.

SZEŚĆ AUTOGRAFÓW JACKA CHARLTONA

Po zakończeniu mistrzostw tysiące tłumy stały oczekując do wczesnych godzin rannych przed hotelem, w którym odbywał się bankiet. Mały 9-letni chłopak doczekał się wreszcie

kich: do działaczy, do sędziów, do graczy, do publiczności i do dziennikarzy. Z komentarzy w jakie zaopatrzyła redakcja „Sportu” moje relacje po znanych wypadkach i awanturach, Czytelnicy wiedzą, jak szybko rozmawiał się pozar, w którym silnym płomieniem zakwitły nagrodzi nieufność i podejrzenia, a potem wzajemne zakarmienia. Odpowiednie sporto-

Dr Jerzy Roha był korespondentem „Sportu” na VIII MŚ w Anglii.

Turniej na angielskich stadionach odbywał się od 11 do 30 lipca. Tutaj już warunki dyktowała telewizja i nie było pola manewru, bo w czerwcu i na początku lipca BBC relacjonowała Wimbledon. Na trawiastych kortach triumfowali wtedy Hiszpan Manuel Santana i jedna z najlepszych tenisistek w historii, Amerykanka Billie Jean King – 12-krotna triumfatorka Wielkiego Szlema, która połowę tytułów zdobyła właśnie na londyńskiej trawie.

Niezwykły korespondent

Do najważniejszej sportowej imprezy 1966 roku przygotowywał się też „Sport”. O tyle było łatwiej, że na Wyspach miał swojego przedstawiciela! Był nim dr Jerzy Roha. Wspomina go Henryk Górecki, który przez kilkadziesiąt lat pisał w naszej gazecie o zagranicznych ligach. – Mieszkał i pracował na stałe w Anglii, a z czasem zaczął stamtąd przysyłać korespondencje. To było w okresie gry Górnika w europejskich pucharach, który nieraz mierzył się przecież z zespołami z Wysp. Potem dr Roha przez lata pisał o lidze angielskiej, a pisał naprawdę fajnie i ciekawie – opowiada redaktor Górecki.

Kim był dr Roha? Urodził się we Lwowie w 1904 roku, zmarł w Londynie w 1979. W latach 1926-34 pracował jako korespondent w Pradze dla takich tytułów, jak „Przegląd Sportowy”, „Wiek Nowy” czy znakomity przed wojną dziennik „Ilustrowany Kurier Codzienny”. W tej ostatniej gazecie pracował w latach 1934-35. Właściwe jego nazwisko brzmiało Jerzy Jakub Rohatiner. Dziennikarstwo łączył z pracą lekarza! Walczył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, a po wojnie został na emigracji, poświęcając się medycynie. Od czasu do czasu pisał o sporcie. Korespondentem „Sportu” był w latach 1966-78.

Jedzenie albo mecz!

Nic dziwnego, że „Sport” w trakcie angielskich mistrzostw miał smakowite kąski. Wiadomo, na 8 stadionach, bo na tylu rozgrywano wtedy Puchar Rimeta, wiele się działo, także skandalicznych rzeczy, ale wiele też dzieje się zwykle poza murawą. Trzeba być na miejscu, żeby wszystko zobaczyć, doświadczyć i zrelacjonować dla Czytelników.

Jedna z takich informacji z tamtego czasu nadesłanych drogą telefoniczną przez dra Rohę brzmiała następująco: „Awantura w biurze prasowym”. O co poszło?

„Potężna awantura wybuchła w poniedziałek w biurze prasowym mistrzostw świata, kiedy dziesiątki zagranicznych dziennikarzy dowiedziało się, że będą musieli zapłacić za bilety na inauguracyjny mecz Anglia – Urugwaj. Dziennikarze stawili się po bilety w Centralnym Biurze Prasowym ulokowanym w wytwornym hotelu „Royal Garden” w Kensington, a ci, którzy przyszli później, zostali poinformowani, że nie ma już bezpłatnych kart wstępu.

Powiedziano im: albo płacicie 2 funty za bilet (5,06 dolara), albo nie wchodzicie na mecz. Większość, ostro protestując, zapłaciła. Jeden ze sprawozdawców holenderskich oświadczył: - To oburzające. Jestem dziennikarzem od 30 lat i po raz pierwszy muszę płacić za bilet. Dawno nie widziałem takiego bałaganu w biurze prasowym. Inny, Hiszpan, dodał: - Większość z nas ma dzienną dietę. Jeśli zapłacimy za bilet oznacza to, że tego dnia nie będziemy jeść!

Jak się okazało, na mecz inaugurujący VIII Puchar Rimeta w poniedziałek 11 lipca 1966 na stadionie Wembley pomiędzy Anglią a Urugwajem (0:0) przygotowanych było 800 akredytacyjnych miejsc dla żurnalistów, a chętnych dwa razy tyle. Kazano więc płacić…

Niżej podpisany sam doświadczył podobnej sytuacji dwa miesiące temu podczas Pucharu Narodów Afryki w Maroku, gdzie części dziennikarzy nie wpuszczono na mecz 1/8 finału pomiędzy Algierią a DR Konga na 20-tysięcznym Moulay Hassan Stadium w Rabacie, tyle że nie kazano nam płacić za wstęp, ale nasłano na nas… służby bezpieczeństwa, żebyśmy się nie awanturowali i nie forsowali bramy wejściowej.

KORESPONDENCI „SPORTU” NA MŚ

- **1950**, Brazylia: -
- **1954**, Szwajcaria: Tadeusz Bagier
- **1958,** Szwecja: Tadeusz Maliszewski vel Narcyz Suessermann
- **1962,** Chile: -
- **1966,** Anglia: dr Jerzy Roha

Sześć autografów od Jacka Charltona

W finałowej czwórce angielskiego czempionatu znaleźli się tylko przedstawiciele z Europy. W finale Anglia pokonała RFN 4:2, a w meczu o 3. miejsce Portugalia, wtedy debiutant w mistrzostwach z królem strzelców Eusebio (9 bramek), pokonała ZSRR 2:1.

„Anglicy byli w dobrej formie i zasłużyli na zwycięstwo w finale, z czym zgadzają się wszyscy. Nie brak jednak opinii, że ładniej od nich grali Węgrzy, Brazylijczycy i Portugalczycy. W sumie jednak sukces Anglii był zasłużoną nagrodą za ogólny, wyrównany poziom gry całej drużyny, za osiągnięcie szczytu formy we właściwym momencie, za połączenie w jednym zespole takich walorów, jak szybkość, odwaga i ambicja z dobrą techniką, jaką rozporządzali prawie wszyscy gracze angielscy. Oto w dużym skrócie wynik mojej prywatnej ankiety, zorganizowanej wśród dziennikarzy zaraz po zakończeniu finału Anglia – Niemcy” – pisał w „Sporcie” dr Jerzy Roha.

Na koniec anegdotka od angielskiego korespondenta naszego dziennika. Wszystko działo się już po finałowym spotkaniu. 9-letni chłopak doczekał się swojej kolejki i Jacka Charltona poprosił o sześć autografów naraz. – Dlaczego aż sześć, synku? – zdziwił się środkowy obrońca mistrzów świata, którego młodszy brat Bobby został najlepszym zawodnikiem VIII MŚ. Odpowiedź malca brzmiała. – Bo brat pana, Bobby, powiedział, że da mi swój podpis jak przyniosę sześć od pana.

Takie smakowite kąski nadsyłał dr Roha.

Michał Zichlarz

Sport 6445383896

Przed nami doświadczenie futbolowej samby

Rozmowa z **Sylwestrem Kurkiem,** organizatorem marcowego meczu Polska - Brazylia w futsalu, twórcą klubu Brasil Czekanów

Szykuje się niecodzienna impreza. Już 28 marca na Pre Zero Arena w Gliwicach odbędzie się mecz Polska - Brazylia. Z pewnością będziemy świadkami magicznego spektaklu, czyli tego, co kibice lubią najbardziej: będą nie tylko emocje, ale i cały wór sztuczek technicznych, które oszołomią publikę.

- Chcę, żeby to był niezapomniany dzień i... taki będzie! Brazylijska piłka niesie bowiem ze sobą to, co fani, - także ci, którzy oglądają piłkę od święta - lubią najbardziej. To piękna gra, „joga bonito"; pełna pięknych akcji, wspaniałych tricków i radości z gry. Mam przekonanie, że 28 marca w Gliwicach będziemy tego świadkami.



Fot. Paweł Czado

Najsławniejszy zawodnik futsalu - Brazylijczyk Falcao - już w tym miesiącu pokaże magiczne umiejętności w Gliwicach. Na zdjęciu razem z organizatorami meczu Polska - Brazylia w Gliwicach: Sylwestrem Kurkiem (drugi z prawej), Williamem Macedo (pierwszy z lewej) i Piotrem Ibromem.

Mecz jest elementem większego widowiska. Jakie są jego założenia?

- Zaczynamy już od godziny 9 - wielkim turniejem dla dzieci z niepełnosprawnościami. Przyjeżdżają dzieci z całej Polski, łącznie z naszymi, z Gliwic - będzie ich około 400. Takiego turnieju, na tak ogromną skalę, dla dzieci z niepełnosprawnościami jeszcze nie było. Żeby to dla nich uatrakcyjnić - przewidzieliśmy również strefę rodzinną. Będą darmowe lody, występy influencerów, dmuchańce, malowanie twarzy. Zobaczymy pokazy wojskowe, umiejętności będą prezentować komandosi. To wszystko będzie odbywać się przed halą. Turniej dzieci potrwa do godz. 14. Zespoły będą miały różne składy, również ilościowe, dzieci mają przecież różne stopnie niepełnosprawności. To turniej, ale tak naprawdę nie przewidujemy finału, walki o medale. Każde dziecko wyjedzie z nagrodą za uczestnictwo. Dla nich naprawdę najważniejszy jest udział, możliwość rozegrania meczu, przeżycia czegoś nadzwyczajnego. Będą rywalizować w czterech grupach na jedenastu boiskach. To będzie wielka zabawa, chodzi o to, żeby czuły się szczęśliwe. Chodzi o ich uśmiech...

A potem?

- Po jego zakończeniu rozpocznie się część główna widowiska. O godz. 17.15 zacznie się mecz influencerów. Będą Dzikie Knury, Waksy, a największą chyba gwiazdą z mediów społecznościowych będzie Mikołaj „Bagi" Bagiński z zespołu DRE$$CODE, który jesienią wygrał 17. edycję „Tańca z Gwiazdami". Fajnie, że tak popularne, rozpoznawalne osoby będą na naszym widowisku. Po tym meczu, o godz. 17.55 zacznie się część oficjalna. Wydarzeniem wieczoru będzie mecz Polska - Brazylia. Po obu stronach będzie wiele świetnych gwiazd.

Zacznijmy od Polski.

- Spotkanie jest również pożegnaniem Adama Krygera, który zagrał w trzech różnych piłkarskich reprezentacjach Polski. Adaś powołał kolegów z różnych generacji uczestniczących w mistrzostwach świata czy Europy. Zagrają Krzysztof Kuchciak, Andrzej Szłapa, czy kończący karierę Bartek Nawrat, nasza legenda bramkarska. Gośćmi specjalnymi będą m.in. były selekcjoner Roman Sowiński (pełny wykaz nazwisk - poniżej).

A Brazylijczycy?

- Oj, może zakręcić się w głowie... Przyjedzie znany z widowiskowego stylu gry Falcao, czyli najbardziej utytułowany futsalista w dziejach. który grą zachwycał cały świat (z reprezentacją Brazylii m.in. dwukrotny mistrz świata, pięciokrotny zdobywca Copa America, zwycięzca Igrzysk Panamerykańskich i Igrzysk Ameryki Południowej, z klubem - siedmiokrotny mistrz Ameryki Południowej. dziewięciokrotny mistrz Brazylii, siedmiokrotny zdobywca Pucharu Brazylii. zdobywca Copa Libertadores - przyp. aut). Będą też inni mistrzowie świata - Tiago, Adonias czy Lucaneta. Na boisko wyjdzie też gość specjalny - Gabriel Arantes czyli wnuk Pelego, którego miałem przyjemność poznać kilka miesięcy temu w Sao Paulo, zaprosił nas na mecz Santosu. Nie zapominajmy o Amaralu (byłym piłkarzu Benfiki, Fiorentiny czy Pogoni Szczecin, dziesięciokrotnym reprezentancie Brazylii, przyp.aut.). Zagra również Roger Guerreiro, były reprezentant Polski, który dziś prowadzi szkółkę dla dzieci w Sao Paulo. Ma być jeszcze wielka niespodzianka, Brazylijczycy trzymają nas w niepewności... Nie wiadomo jeszcze o kogo chodzi... Wiadomo już jednak, że impreza ma być transmitowania w brazylijskiej telewizji. Załatwia to Bruno, menedżer i brat Falcao. Jako, że w Europie Środkowej będą po raz pierwszy postawili sobie za punkt honoru żeby było to ładnie sprzedane także u nich. Transmisja ma być także w Romario TV, która ma w Brazylii niesamowitą oglądalność... Może to on jest tą niespodzianką? Fajnie by było. Wiemy, że jest w Europie... Brazylijczycy poprosili nas żebyśmy skupili się na futsalu, więc będziemy mieć również polskich gości znanych z dużych boisk, którzy będą na trybunach, ale nie wystąpią. Będą gośćmi specjalnymi wydarzenia. Pojawić się ma m.in. Antoni Piechniczek z żoną. Pojawią się m.in. Mariusz Śrutwa, Jacek Bednarz, Ryszard Czerwiec, Łukasz Gikiewicz, Jakub Rzeźniczak czy Jakub Czerwiński. Goście będą ogólnie dostępni, będzie można z nimi porozmawiać, zebrać autografy. Gwiazdy podejdą też do dzieci niepełnosprawnych, będą się z nimi integrować.

Początek wielkiego meczu o godzinie 18?

- Tak, zagramy dwa razy po pół godziny bez zatrzymywania czasu. Poprzedzą go hymny odegrane przez orkiestrę kopalni „Sośnica". Nauczyła się już brazylijskiego hymnu, a zaśpiewa go dziewczyna z Brazylii mieszkająca w Katowicach (uśmiech)... Z kolei w przerwie będą specjalne występy mistrzów świata w żonglerce, czy w dryblingu - Paweł Skóra i Piotr „Olo" Oleksik pokażą, co potrafią. Po meczu czekają nas występy różnych zespołów, m.in. samby. Gościć będziemy też m.in. zespół Pectus, który wspiera nas w organizacji tego wydarzenia. Bracia Szczepanikowie dojadą we trójkę, nie będzie tylko Tomka. Będą uczestniczyć w tym widowisku jako goście. Może dadzą się namówić, żeby coś zaśpiewać, choć bez Tomka, który jest wokalistą, może być im ciężko (uśmiech).

Rozmawiał Paweł Czado


Fot. Paweł Czado

Sylwester Kurek et consortes opowiadają o klubie Brasil Czekanów i gliwickim meczu Polska - Brazylia popularnym youtuberom w Sao Paulo.

PROGRAM

LEGENDS GAME POLSKA 2026
09.00 - Turniej dzieci z niepełnosprawnościami
od 13.00 - STREFA RODZINNA: dmuchańce, warsztaty, wata cukrowa, popcorn, strefa gastronomiczna, występy artystyczne i muzyczne, freestyle football, darmowe lody, stoiska komercyjne
16.30 - otwarcie trybun
17.15 - mecz influencerów
18.00 - MECZ GŁÓWNY POLSKA vs BRAZYLIA
Atrakcje dodatkowe: konkursy z nagrodami , pokazy i wyzwania sportowe , fotobudka
Spikerzy: Jędrzejewski (Gabor), Podeszwa

SKŁADY

Brazylia: Falcao, Adonias, Tiago (br), Lucaneta , Xandy, Amaral, Devis, Goleiro de Capacete, Gabriel Arantes do Nascimento, Roger Guerreiro, Obolha.
Polska : A. Kryger, Kuchciak, Szłapa, S. Kryger, Gikiewicz (br), Podgórski, Nawrat (br), Dąbrowski, Kiełpiński, Kaszowski, Mikołajewicz, Szczurek, Grądowski, Reiss, Milewski.

GOŚCIE

Piechniczek, Dudek, Czerwiński, Wilczek, Jeleń, Czerwiec, Bednarz, Śrutwa, Urbaniak, Rzeźniczak, Szamotulski, Siemianowski.

BILETY

Bilety dostępne na eBilet.pl oraz Eventim.pl. Bilety w cenie od 49 zł. Kod rabatowy: Dresscode.

Sport 6445383896

Czas pod znakiem piątki

Pięć zimowych strat, pięć nabytków, pięć goli na inaugurację czwartoligowej wiosny, bramka Łukasza... Piontka i zaproszenie na piątkowe derby – dzieje się w Cidrach!

RUCH RADZIONKÓW

Już 16 goli w siedmiu zimowych sparingach mogło wskazywać na to, że skuteczność będzie atutem Radzionkowian w rundzie wiosennej. Wyjazd do Turzy Śląskiej przyniósł prawdziwą kanonadę w ich wykonaniu. Na bardzo trudnej murawie – podkreślali to wszyscy w ekipie gości – Ruch „rozjechał" spadkowicza z Betclic 3. Ligi aż 5:2. Dwa gole strzelił młodzieżowiec, Daniel Bolacki, już do ośmiu bramek „podkręcając" swój snajperski wynik. Dwie asysty dołożył „Piłkarz roku 2025" w klubowym plebiscycie, Szymon Siwy; dwa trafienia zaliczyli też defensorzy, Tymon Sobek i Tomasz Harmata. - Ćwiczyliśmy w piątek stałe fragmenty – tłumaczył skuteczność obrońców ten drugi.

Żadnych obaw!

- I szybki atak też! - przypominał z miejsca Marcin Trzcionka. Szkoleniowiec Ruchu stanął zimą przed ogromnym wyzwaniem: rozpadł mu się przecież kręgosłup zespołu! Pożegnali się z Radzionkowem stoper Rafał Otwinowski i rozgrywający (na dodatek kapitan) Bartłomiej Gwiaździński, a także napastnik Michał Szromek. Nie był to koniec ubytków: wiosną kibice Cidrów będą mogli zobaczyć Oliwiera Lazara w koszulce Przemszy Siewierz, a Michał Karwot już zagrał przeciwko byłym kolegom w zespole Unii. Z niepokojem więc czekano wśród fanów Żółto-czarnych – tradycyjnie licznie podróżujących za drużyną po ligowych boiskach – na pierwszy występ. - A ja tych obaw, widząc pracę, jaką wykonali zawodnicy, nie miałem – zapewniał natomiast Trzcionka.

Dłuuugie czekanie

I wiedział, co w trawie (niewiele jej było w Turzy...) piszczy. - Byliśmy dobrze przygotowani na doświadczony zespół gospodarzy, dobrze zabezpieczyliśmy nasze pole karne – podsumowywał 90 minut na murawie. Dla Tomasza Harmaty, który przejął opaskę kapitańską, najważniejsze było jednak co innego. - Najważniejsze, że się odkuliśmy na wyjazdach – podkreślał z dumą po końcowym gwizdku. Rzeczywiście, Ruch wygrał dopiero drugie w tym sezonie spotkanie wyjazdowe. Czekał na ten moment od... 9 sierpnia ubiegłego roku. Po zwycięstwie 4:0 w Tarnowskich Górach, z kolejnych wypraw jesienią przywiózł remis i sześć porażek!

- Fakt, ciążyła nam ta seria – podkreślał trener Trzcionka. Spora liczba nowych graczy – poza wspomnianym Sobkiem z Rekordu Bielsko-Biała, dołączyli także Seweryn Pacyga (Stadion Śląski), Kevin Rocki (Sparta Katowice), Dominik Piotrowski (Piast II Gliwice) i Mateusz Piernikarczyk (Gwarek Zabrze) – pozwala mieć nadzieję, że już za moment nikt w Radzionkowie o niej pamiętać nie będzie.

Taniej nie znaczy gorzej

Owa zimowa rewolucja w kadrze miała też cel... ekonomiczny; z listy płac „spadło" parę nie najniższych kontraktów. - Najważniejsze byśmy wyprostowali sytuację finansowo i mogli w przyszłości grać „do przodu" - Marcin Trzcionka od dłuższego czasu robi sportowo świetną robotę. Ambicje sportowe – jego i podopiecznych – krępują jednak realia pozostawione przez byłego prezesa. Być może wiosna przybliży Ruch do realizacji obu celów.

Kolejną odsłoną wiosennych zmagań Cidrów będą piątkowe (godz. 19.00) derby powiatu z Gwarkiem Tarnowskie Góry.

(DaL)



Fot. Ruch Radzionków

Zwycięska ekipa Cidrów i ich kibice na wyprawie do Turzy Śląskiej.



Fot. Piotr Matusewicz/PressFocus

Dla Mateusza Zembrzyckiego gra w koszulce z orzełkiem do zaszczyt.

Palec i kostka

Marcel Jastrzębski i Tomasz Gębala nie wezmą udziału w zgrupowaniu przed dwumeczem z Łotwą. Zastąpią ich Mateusz Zembrzycki i Damian Przytuła.

REPREZENTACJA MĘŻCZYZN

Mecze 2. rundy eliminacji mistrzostw świata zbliżają się wielkimi krokami. Trener Jota Gonzalez chce mieć wszystko zapięte na ostatni guzik i już 2 marca rozesłał powołania. Na zgrupowanie w Pruszkowie zaprosił 18 zawodników, ale zabezpieczył się, podając nazwiska 8 rezerwowych.

Wybrańcy Hiszpana zbiorą się w najbliższą niedzielę, ale konieczne było wprowadzenie korekt. Bramkarz Marcel Jastrzębski liczył na powrót do kadry i znalazł się na liście powołanych, ale właśnie poinformował, że doznał kontuzji.

- Złamałem palec u ręki. W tym tygodniu mam kontrolę, aby sprawdzić, jak przebiega proces zrastania. Wtedy dowiem się, jak długa czeka mnie przerwa, ale pierwsze szacunki mówią o trzech lub czterech tygodniach pauzy. Bardzo żałuję, że nie będzie mnie na zgrupowaniu, ale będę kibicował kolegom sprzed telewizora - poinformował zawodnik, który wobec silnej konkurencji w Orlen Wiśle Płock skorzystał z oferty chorwackiego RK Nexe, a wspomnianej kontuzji doznał na treningu. Zastąpił go Mateusz Zembrzycki, którego... nie było w gronie rezerwowych. - Po otrzymaniu informacji o kontuzji Marcela skontaktowałem się z bramkarzem, którego na początku umieściłem na liście rezerwowej, czyli Jakubem Skrzyniarzem. On także ma jednak małe problemy zdrowotne, więc wspólnie uznaliśmy, że lepiej będzie dać mu chwilę odpoczynku. Następnie podjąłem decyzję, że w takiej sytuacji chcę dać szansę Mateuszowi, który bardzo dobrze radzi sobie w polskiej lidze - komplementował golkipera Wybrzeża Gdańsk trener Gonzalez.

- Dla każdego sportowca gra w kadrze to ogromne wyróżnienie. Jeśli chodzi o mecze z Łotwą, to plan jest prosty, czyli dać z siebie 100 procent i wygrać oba. Gra z orzełkiem to coś wyjątkowego, a takie spotkania nie trzeba się dodatkowo motywować - powiedział Zembrzycki, który do Pruszkowa dotarłby pewnie w towarzystwie Tomasza Gębali, bo gają w jednym klubie, ale ten również był zmuszony zrezygnować. - Doznałem kontuzji stawu skokowego. Bardzo szkoda, że przytrafiła się właśnie w takim momencie, ale teraz nie mogę zrobić nic więcej niż kibicować chłopakom z domu - powiedział „Rudy".

- Kontuzja Tomka to duży pech i strata, bo to dla nas ważny zawodnik. Zamiast niego będziemy mieć Damiana Przytułę, który był już w kadrze i zna nasze założenia. Damian może nam pomóc po obu stronach boiska - stwierdził selekcjoner Gonzalez, a rozgrywający RK Zagrzeb zapowiedział: - Jestem gotowy pomóc reprezentacji. Przed nami dwa bardzo ważne mecze, które bardzo chcemy wygrać.

Pierwsze spotkanie z Łotwą zostanie rozegrane 19 marca o 18.40 w Jełgawie. Rewanż odbędzie się 22 marca o 15.00 w Ostrowie Wielkopolskim. Żeby ten drugi mecz zobaczyć na żywo, z zakupem biletu trzeba się pośpieszyć.

(mha)

ORLEN SUPERLIGA KOBIET

Krasoń MKS Piotrcovia - Enea MKS Gniezno 24:24 (12:13) rzuty karne 5:4

PIOTRCOVIA: Sarnecka, Cieślak - Królikowska 3, Domagalska 4, Polańska 3, Noga 3, Roszak 5/1, Gadzina 2, Haric, Szczukocka 3, Pankowska 1, Grobelna, Masna, Sobecka, Byzdra. Kary: 6 min. Trener Horatiu PASCA.

GNIEZNO: Hypka, Krupa-Chlebik, Konieczna - Szczepanik 1, Łęgowska 4, Fegić 3/1, Głębocka 5, Cygan 5, Lipok 3, Wabińska, Rocha, Nurska, Kuriata 1, Musiał, Bartkowiak 2, Tanaś. Kary: 8 min. Trener Peter KOSTKA.

Grupa mistrzowska

1. Zagłębie	20	56	710:530
2. Lublin	20	54	644:508
3. Piotrcovia	21	39	620:568
4. Koszalin	20	30	542:603
5. Gniezno	21	28	597:574
6. Kobierzyce	20	28	583:574

Grupa spadkowa

7. Galiczanka	20	27	542:593
8. Start	20	17	575:660
9. Sośnica	20	16	542:621
10. Ruch	20	8	563:687

Pozostałe mecze 21. serii - grupa mistrzowska - 15 marca: Lublin - Kobierzyce - niedziela, 16.00, Zagłębie - Koszalin - niedziela, 18.00; grupa spadkowa - 14-16 marca: Start - Galiczanka - sobota, 18.00, Sośnica - Ruch - poniedziałek, 18.00. **(mar)**

Sport 6445383896

Niebezpieczny mecz

Fazę grupową EHF Champions League Industria Kielce zakończy wyjazdowym starciem z Kolstad. Aby utrzymać 3. miejsce, musi zwyciężyć.

LIGA MISTRZÓW

Na ostatni mecz fazy grupowej wicemistrzowie Polski udali się do norweskiego Trondheim. Mają jasny cel - obrona 3. lokaty w tabeli grupy A. Jeśli Żółto-biało-niebiescy wygrają z Kolstad, jedną z najsłabszych ekip rozgrywek, to bez oglądania się na wyniki goniących ich Veszprem i Nantes do 1/8 finału przystąpią z uprzywilejowanej pozycji. - Na ten moment mamy 3. miejsce. Walczyliśmy o nie praktycznie od początku roku kalendarzowego. Zamierzamy podtrzymać dobrą passę. Wygrywamy ostatnio wszystko i chcemy, żeby tak samo było w Trondheim. Wszystko jest w naszych rękach, nie możemy zaprzepaścić tego, co tak ciężko wypracowaliśmy wcześniej – powiedział przed wylotem do Norwegii Krzysztof Lijewski, II trener Industrii.

Kiedy wróciła nadzieja

A jeszcze we wrześniu i październiku o takim scenariuszu co najwyżej można było pomarzyć. Przetrzebieni kontuzjami większości zawodników Kielczanie przegrywali ważne mecze. Nawet w swojej Hali Legionów tracili po 20 bramek w pierwszych połowach. Obsuwali się w tabeli, co bardzo źle rokowało. Przełom nastąpił w zremisowanym (32:32) meczu z faworyzowanym Aalborgiem, a na właściwym torze znaleźli się po wygranych z Dinamem Bukareszt (28:24, 34:32). Na zakończenie roku zobaczyliśmy jeszcze pewne (33:29) zwycięstwo w Nantes i wróciła nadzieja na 3. miejsce. Do meczu ostatniej, 14. serii fazy grupowej Kielczanie przystąpią jako zdecydowani faworyci, z robiącą wrażenie w Europie passą pięciu wygranych.

Kłopoty Norwegów

Podopieczni trenera Tałanta Dujszebajewa są w gazie, a przyjdzie im się zmierzyć z jedną z najsłabszych drużyn w tegorocznej edycji, która przegrała wszystkie trzy mecze fazy grupowej w 2026 roku. Kolstad zamyka tabelę z tylko 4 punktami, na które złożyły się zwycięstwa z Dinamem Bukareszt (31:28) oraz Fuechse Berlin (28:24). Zwłaszcza wygrana z Lisami zrobiła wrażenie, bo jest to jeden z faworytów do wygrania Ligi Mistrzów. - Nie możemy się doczekać ponownego spotkania z Kielcami, ponieważ mieliśmy wcześniej kilka świetnych meczów z nimi. A ponieważ jesteśmy jedynymi zespołami, które zdobyły punkty z liderującymi mistrzami Niemiec, może to być wspaniałe zakończenie tego w sumie mało udanego dla nas sezonu w Lidze Mistrzów – stwierdził z lekkim optymizmem prawoskrzydłowy, Kolstad Sigvaldi Gudjonsson.

Trzeba w tym miejscu koniecznie dodać, że klub z Trondheim przeżywa ostatnio ogromne problemy organizacyjne. Z powodów finansowych zespół opuścili bardzo ważni gracze, jak wybitny bramkarz Andreas Palicka (przeszedł do Fuechse) i rozgrywający Simen Lyse (trafił do PSG), a zespół podejmuje rywali w mniejszej Kolstad Arenie, a nie w nowoczesnej, wielofunkcyjnej Trodheim Spectrum.

Zwycięstwo na wyciągnięcie ręki, gdy...

Trener Lijewski, analizując grę rywala, wskazał na typowo skandynawskie atuty: siłę, mobilność i świetne wyszkolenie techniczne. - Kolstad słynie z solidnej obrony 6-0 oraz błyskawicznych kontrataków. Skandynawowie lubią grać na zwodzie i rzucać z drugiej linii. Musimy zastopować Szweda Simona Jeppssona, który ma świetne warunki fizyczne i lubi rzucać z 10, a nawet 11 metra. Przyjdzie nam zagrać z przeciwnikiem, dla którego to będzie ostatni mecz w Lidze Mistrzów w tym sezonie. Choć Kolstad zamyka stawkę i nie ma już szans na dalszą grę w tej edycji, to na pewno podejdzie do niego bez presji i z ambicją pokazania się z jak najlepszej strony przed własnymi kibicami. Trenerzy mogą też posłać na boisko innych zawodników oraz sprawdzać różne rozwiązania taktyczne. Takie mecze są bardzo niebezpieczne, bo wiesz, że przychodzi ci grać z przeciwnikiem, który o nic nie walczy, więc musisz być maksymalnie skupiony. Jeżeli do tego spotkania podejdziemy z wielkim szacunkiem i respektem do przeciwnika, a każdy zawodnik wykona swoją robotę, to zwycięstwo będzie na wyciągnięcie ręki - dodał asystent Tałanta Dujszebajewa.

Kolstad IL - Industria Kielce
czwartek, 18.45; Eurosport 1

Bez Alexa i Daniela

Największym problemem Industrii jest sytuacja kadrowa. Zespół będzie dziś musiał sobie radzić bez filarów – Alexa i Daniela, synów trenera Dujszebajewa. O ile absencja tego pierwszego była wkalkulowana (kontuzja mięśnia dwugłowego), o tyle brak Daniego to efekt świeżego urazu lekkiego naciągnięcia pachwiny. Nie wykluczy on go z gry na dłuższy okres, ale kilkanaście dni musi odpocząć. - Jego rolę będą musieli przejąć inni zawodnicy. Z tego powodu większa odpowiedzialność w defensywie ciążyć będzie na barkach Artsema Karaleka i Michała Olejniczaka – podkreślił Lijewski.

Po rozmowie z mamą

Śladu po kontuzji złamanego nosa nie widać już u Piotra Jarosiewicza. Niedawno wrócił do pełnych treningów i meczów, a wcześniej wychodził wyłącznie na rzuty karne, które są jego specjalnością. Z linii 7 metra lewoskrzydłowy myli się niezwykle rzadko, a gdy podchodzi do piłki, to gol jest pewny jak lokata bankowa. - O rzutach karnych rozmawiałem niedawno ze swoją mamą, która gratulowała mi występów i powiedziała, że wielu kibiców mówi, że nie mam „układu nerwowego". Kto mnie nie zna, ten tak powie, ale mama widziała, że się denerwowałem i tobardzo (śmiech). Jest to stres, duża odpowiedzialność, ale po pierwszym wykorzystanym karnym emocje opadają i pojawia się więcej luzu. Jest takie porzekadło, że trzeciej „siódemki" się nie wykorzystuje, ale robię wszystko, by temu zaprzeczyć, ponieważ chcę być perfekcyjny i trafiać nawet ten trzeci rzut - mówi 27-letni reprezentant Polski.

Zbigniewe Cieńciała



Fot. Przemysław Strąk/PressFocus

Piotr Jarosiewicz uchodzi za niezrównanego egzekutora rzutów karnych.

Męczarnie i ciężkie granie

„Zwycięskim" remisem zakończyli grupową rywalizację mistrzowie Polski. Teraz czeka ich walka o ćwierćfinał. Rywala poznają w czwartek.

LIGA MISTRZÓW

Na zakończenie fazy zasadniczej mistrzowie Polski zmierzyli się w Orlen Arenie z OTK Bank-Pick Szeged. Obie drużyny miały już zapewniony występ w fazie pucharowej. Płocczanie w 12. kolejce zapewnili sobie awans do 1/8 finału z 3. miejsca w grupie B, co oznacza, że rewanżowe spotkanie z 6. zespołem grupy A – najprawdopodobniej będzie to Sporting Lizbona - rozegra u siebie.

Wynik lepszy niż gra

Pierwszy mecz był wielką niespodzianką dla płockich kibiców, gdyż Nafciarze wygrali na Węgrzech 34:33, ale w rewanżu łatwiej się nie grało. Początek należał do handballistów z Segedynu, którzy przez kwadrans dyktowali warunki, zasłużenie prowadząc nawet trzema trafieniami. Zdenerwowany trener Xavier Sabate szybko poprosił o minutową przerwę, widząc nie najlepszą postawę swych podopiecznych. Niewiele pomogła. Kibice łapali się za głowy, widząc zaskakująco nieporadne poczynania swych ulubieńców. W trudnym momencie sygnał do przebudzenia dał Torbjern Bergerud, co szybko znalazło odzwierciedlenie na tablicy wyników. Na przerwę goście schodzili z jednobramkową przewagą, gdyż Sergiej Kororotow zmarnował „setkę" w ostatniej akcji, ale i tak wynik był lepszy niż gra Biało-niebieskich.

Szczęśliwa końcówka

Po przerwie kibiców spotkał jednak spory zawód, ponieważ gra miejscowych nadal była bardzo licha. Wściekły Sabate szalał przy linii bocznej, widząc mnożące się błędy. Słabo też mistrzowie Polski wyglądali od strony mentalnej. To przeciwnikom bardziej się chciało biegać, bronić i rzucać. W ostatnim kwadransie gospodarze mieli do odrobienia 4 gole. W końcówce goście rzucili im kilka kół ratunkowych, co przy dobrej dyspozycji Mirko Alilovicia pozwoliło odrobić straty w 58 minucie. Na 19 sekund przed końcem fenomenalnie trafił Lazar Kukić, więc Sabate poprosił o ostatni przysługujący mu czas. Na 7 sekund przed końcem z boiska wyleciał Gleb Kalarash, a Melvyn Richardson równo z syreną doprowadził do emisu.

- W pierwszej połowie była męczarnia – przyznawał zmęczony, ale i zadowolony lewoskrzydłowy Lovro Mihić. - Ciężko nam się grało, dlatego chciałbym pogratulować chłopakom walki do końca. Musimy się cieszyć z tego punktu, bo wywalczyliśmy go dopiero w końcówce, ale już zapominamy o wszystkim, co wydarzyło się w fazie grupowej. Teraz trzeba się skupić na play offie.

Zbigniew Cieńciała

■ **Orlen Wisła Płock – OTP Bank-PICK Szeged 30:30 (14:15)**

PŁOCK: Bergerud, Alilović - Daszek 1, Janc 5, Szyszko, Sroczyk, Serdio 3, Susnja, Samoiła, Richardson 8/4, Zarabec, G. Fazekas 3, Krajewski 1, Mihić 3, Ilić 2, Kosorotow 4. Kary: 6 min. Trener Xavier SABATE.

SZEGED: Thulin, Mikler - Smarason, Bodo, M. Fazekas 2, Jelinić 6, Gottfridsson 1, Furka, Sostarcić, Kalarash, Toto 7, Nikolić, Kukić 6, Garciandia 4, Mackovsek 2, Szilagyi 2. Kary: 8 min. Trener Michael APELGREN.

Sędziowali: Amar Konjicanin i Dino Konjicanin (Bośnia i Hercegowina). Widzów 3562.

Przebieg meczu: 0:1 (1), 1:1 (3), 2:4 (9), 4:5 (13), 5:8 (15), 7:11 (20), 10:11 (25), 13:13 (29), 14:16 (32), 16:19 (37), 18:22 (42), 20:24 (45), 26:27 (53), 28:28 (58), 29:29 (60), 30:30 (60).

GRUPA B: GOG Gudme - RK Zagrzeb 33:28 (16:13), FC Barcelona - Eurofarm Pelister Bitola 47:27 (24:15), Paris Saint-Germain - SC Magdeburg 34:26 (15:11).

1. Barcelona	14	26	492:382
2. Magdeburg	14	23	457:408
3. Płock	14	18	424:410
4. Paryż	14	13	446:436
5. Gudme	14	13	443:468
6. Szeged	14	11	428:424
7. Bitiola	14	6	369:447
8. Zagrzeb	14	2	375:459

(mha)

Sport 6445383896

Bolesna porażka

Rzeszowianki przegrały za trzy punkty z Eczacibasi Stambuł i Final Four mocno się od nich oddalił.

LIGA MISTRZYŃ

Jelena Blagojević w połowie lutego została pierwszą trenerką DevelopResu. Pod jej wodzą drużyna wygrała cztery spotkania w Tauron Lidze, nie tracąc nawet seta. W Lidze Mistrzyń czekało ją i jej podopieczne jednak znacznie trudniejsze wyzwanie. W walce o awans do Final Four mistrzynie Polski mierzyły się bowiem z Eczacibasi Stambuł, w którym aż roi się od wielkich nazwisk światowej siatkówki. Jedną z nich jest atakująca reprezentacji Polski Magdalena Stysiak. Blagojević wyzwania się nie bała. - Nie mamy kompleksów. Wiemy, że mamy wartościowy zespół, więc mam nadzieję, że wynik będzie fajny w tym w sensie, że w drugim meczu, który rozegramy u siebie, będzie można zrobić jeszcze coś więcej – mówiła przed meczem serbska trenerka.

Rzeszowianki wyszły na parkiet pewne siebie. Świetnie w spotkanie weszła Taylor Bannister. Amerykańska atakująca nie myliła się. Seryjnie zdobywała punkty. Nadspodziewanie dobrze radziły sobie też pozostałe skrzydłowe, Laura Jansen i Marrit Jasper, a miały bardzo trudne zadanie, bo musiały walczyć ze znacznie wyższym od siebie blokiem. Stysiak i Dana Rettke mierzą ponad 2 metry, a Sidead Jack-Kisal jest niewiele niższa. Mimo to Jasper i Jansen znalazły na nie sposób. Po drugiej stronie gorsze oblicze pokazywała z kolei Ebrar Karakurt. To zawodniczka o wielkich umiejętnościach i charyzmie, ale nieobliczalna. Zaczęła katastrofalnie. Nie radziła sobie ani w przyjęciu, ani w ataku. W pierwszym secie skończyła zaledwie dwa z sześciu ataków. W Eczacibasi poziom trzymała tylko Stysiak, ale osamotniona nie zdołała zatrzymać DevelopResu.

Przegrana partia mocno podrażniła faworytki. Wprawdzie Karakurt nadal zawodziła – przebudziła się na chwilę w trzeciej odsłonie – ale jej koleżanki weszły na wyższy poziom. Poprawiły przyjęcie i to wystarczyło, by ich akcje nabrały szybkości i skuteczności. Szalały Stysiak i Jack-Kisal. Zawodniczki ze Stambułu znalazły też sposób na zatrzymanie rzeszowskiej ofensywy.

Przyjezdne w dwóch kolejnych setach niewiele miały do powiedzenia, ale do walki ich to nie zniechęciło. Nie wybiły ich też z rytmu problemy w czwartym secie (11:16). Konsekwentnie odrabiały straty. Wydawało się, że ich upór i wola walki zostaną nagrodzone. W końcówce bowiem dopięły swego i wyszły na prowadzenie 23:22. Miały też w górze akcję na piłkę setową, ale mimo kilku prób nie wykorzystały okazji, Bannister została zaatakowała, a po chwili Jack-Kisel zdobyła punkt z piłki przechodzącej.

Spotkanie rewanżowe odbędzie się za tydzień w Rzeszowie. Rzeszowianki, by awansować do Final Four, potrzebują zwycięstwa 3:0 i 3:1 oraz triumfu w „złotym secie".



Fot. cev.eu

Laura Jansen robiła wszystko, by podbić piłkę po atakach zawodniczek Eczacibasi, ale niewiele wskórała.

Eczacibasi Dynavit Stambuł – DevelopRes Rzeszów 3:1 (22:25, 25:12, 25:20, 25:23)
ECZACIBASI: Sahin (4), Karakurt (14), Rettke (11), Stysiak (18), Erkek (12), Jack-Kisal (15), Akoz (libero) oraz Diken, Smrek (2), Plummer (1). Trener Giulio Cesare BREGOLI.
DEVELOPRES: Wenerska, Jansen (7), Lemmens (10), Bannister (21), Jasper (4), Heyrman (8), Szczygłowska (libero) oraz Piasecka (9), Chmielewska, Sieradzka (5).Trenerka Jelena BLAGOJEVIĆ.
Sędziowali: Raquel Portela (Portugalia) i Iwaiło Iwanow (Bułgaria). Widzów 3214.
Przebieg meczu
I: 10:8, 13:15, 17:20, 22:25.
II: 10:4, 15:8, 20:8, 25:12.
III: 10:7, 15:10, 20:14, 25:20.
IV: 10:8, 15:11, 20:18, 25:23.
Bohaterka - Sinead JACK-KISAL.

(mic)

Misja niemożliwa wykonana

PGE Projekt Warszawa po „złotym secie" awansował do grona ośmiu najlepszych drużyn Europy!

LIGA MISTRZÓW

Warszawianie przed tygodniem, w pierwszym meczu przegrali we własnej hali z Itasem 2:3. W rewanżu stawiało ich to w trudnej sytuacji, bo we Włoszech musieli wygrać. Triumf 3:0 lub 3:1 dawał im awans do ćwierćfinału, 3:2 z kolei oznaczał rozgrywanie „złotego seta".

Nasi siatkarze w Trydencie pokazali wielki hart ducha i wolę walki. Spotkanie bowiem nie układało się po ich myśli. Tak jak w Warszawie mieli kłopoty w przyjęciu zagrywki i zatrzymaniu Theo Faure. Francuz był bezbłędny. Uderzał bardzo mocno, rozbijając warszawski blok. Nawet gdy blokującym udawało się dotknąć piłki, ta leciała wysoko i daleko lobując defensorów.

Gospodarze prowadzili już 16:11, ale seta nie wygrali. Bohaterami końcówki okazali się: Juri Semeniuk, Jakub Kochanowski i Bartosz Bednorz. Ten pierwszy zaprezentował świetną grę w bloku, Kochanowski popisywał się precyzyjnymi serwisami, a Bednorz sprytnymi atakami. Od 21:23 nasi siatkarze nie stracili już punktu.

Gdy jednak dwie kolejne partie zakończyły się sukcesem Itasu, wydawało się, że goście już się nie podniosą. By zagrać w ćwierćfinale, musieli bowiem zwyciężyć w trzech kolejnych setach. Zadanie wydawało się niemożliwe do wykonania. Mając nóż na gardle Warszawianie zaprezentowali wielką klasę. Nie dali się złamać. Nie grali perfekcyjnie, popełniali błędy, ale mankamenty nadrabiali ogromnym zaangażowaniem. Szli do każdej piłki, nie zwieszali głów, lecz twardo odpowiadali gospodarzom. Za swoją postawę zostali nagrodzeni. Najpierw doprowadzili do „złotego seta", a w nim odwrócili losy rywalizacji.

Miejscowi prowadzili 7:4. Wtedy kolejny błysk zanotował Kochanowski. Poszedł na zagrywkę i gdy ją opuszczał, PGE Projekt wygrywał 10:7 i szansy nie wypuścił z rąk.

W 1/4 finału dojdzie zatem do polskiego starcia, PGE Projektu z Bogdanką LUK Lublin.

(mic)

Itas Trentino – PGE Projekt Warszawa 2:3 (23:25, 25:19, 25:18, 21:25, 12:15). Złoty set 11:15.
ITAS: Sbertoli (1), Ramon Ferragut (16), Flavio Gualberto (7), Faure (34), Lavia (20), Torwie (9), Laurenzano (libero) oraz Pesaresi, Garcia Fernandez, Bristot (1). Trener Marcelo MENDEZ.
PGE PROJEKT: Firlej (1), Bednorz (16), Semeniuk (15), Gomułka (24), Tillie (15), Kochanowski (9), Wojtaszek (libero) oraz Kozłowski, Weber (1), Firszt (1). Trener Kamil NALEPKA.
Sędziowali: Sinisa Ovuka (Bośnia i Hercegowina) i Sanja Miklosić (Słowenia). Widzów 2739.
Przebieg meczu
I: 10:8, 15:10, 20:18, 23:25.
II: 10:6, 15:10, 20:16, 25:19.
III: 10:5, 15:9, 20:14, 25:18.
IV: 9:10, 11:15, 17:20, 21:25.
V: 2:5, 8:10, 12:15.
Złoty set: 5:3, 7:10, 11:15.
Bohater – Juri SEMENIUK.
Pierwszy mecz 3:2. Awans PGE Projektu Warszawa

Szloch pod Jasną Górą

Mieli grać w play offie, a tymczasem - na dwie kolejki przed końcem sezonu zasadniczego - spadają do 1. ligi.

PLUSLIGA

Takiego rozstrzygnięcia nikt nie oczekiwał. Norwidowcy z Częstochowy przegrali w meczu ostatniej szansy z bełchatowska Skrą 0:3 i opuszczają szeregi elity. Pod Jasną Górą słychać szloch i krzyk rozpaczy. A przecież aspiracje były wysokie. Zespół z wieloma wartościowymi zawodnikami w składzie zawiódł na całej linii i na dwie kolejki przed zakończeniem pierwszej części rozgrywek musi się pogodzić z degradacją.

To była niezwykle ważna potyczka dla obu ekip. Gra nie była olśniewająca, mocno szarpana, ale gospodarze zaliczyli stanowczo za dużo błędów własnych. One miały spory wpływ na wynik, choć pozostałe elementy również nie funkcjonowały tak, jakby sobie życzył trener Lubomir Travica. Spory problem mieli z przyjęciem i – rzecz jasna – z wyprowadzeniem skutecznego ataku. Jedynie Patrik Indra grał na mniej więcej równym poziomie, zaś pozostali skrzydłowi - obok dobrych momentów - sporymi fragmentami zawodzili.

A goście? Byli zdecydowanie dokładniejsi zarówno w polu serwisowym (8 asów-9 błędów, 5-17 rywali) oraz w bloku (10-7). Ten ostatni element sprawił, że goście wygrali dwa sety na przewagi i one zupełnie „rozkleiły" gospodarzy. W trzeciej odsłonie dominacja przyjezdnych nie podlegała dyskusji i mecz zakończył as serwisowy Alana Sousy. Radość w ekipie bełchatowskiej była uzasadniona, wszak nadal ma szansę na play off. Byłby to dla niej sukces, bo przecież ten sezon z powodu kontuzji był niezwykle trudny.

Steam Hemarpol Politechnika Częstochowa – PGE GiEK Skra Bełchatów 0:3 (30:32, 25:27, 21:25)
CZĘSTOCHOWA: De Cecco (2), Lipiński (11), Popiela (11), Indra (18), Ebadipour (13), Adamczyk (5), Makoś (libero) oraz Kowalski, Jeanlys (2), Kiedos, Sługocki (libero). Trener Lubomir TRAVICA.
BEŁCHATÓW: Łomacz (3), El Graoui (15), Lemański (10), Alan Souza (15), Pothron (9), M. Nowak (9), Kędzierski (libero) oraz Żakietas. Trener Krzysztof STELMACH.
Sędziowali: Szymon Pindral i Bartłomiej Adamczyk (obaj Kielce). Widzów 1500.
Przebieg meczu
I: 8:10, 12:15, 18:20, 24:25, 29:30, 30:32.
II: 10:8, 15:14, 20:18, 25:27.
III: 8:10, 11:15, 15:20, 21:25.
Bohater – Mateusz NOWAK.

1. Zawiercie	24	56	19/5	62:25
2. Warszawa	24	48	17/7	54:33
3. Lublin	24	47	16/7	58:36
4. Olsztyn	24	45	16/8	57:42
5. Rzeszów	23	43	15/8	52:34
6. Bełchatów	23	38	13/10	46:42
7. Jastrzębie	23	36	13/10	46:42
8. Gdańsk	23	34	12/11	48:47
9. Kędzierzyn	23	33	10/13	51:53
10. Suwałki	24	26	7/17	38:58
11. Gorzów	23	24	7/16	36:54
12. Lwów	23	23	8/15	37:57
13. Chełm	24	23	7/17	35:59
14. Częstochowa	24	16	4/20	30:65

1-8 play off, 14 spadek do I ligi

Sport 6445383896

Głód sukcesu

W Oświęcimiu będzie dziś ostatni akt ćwierćfinałowej batalii.

TAURON HOKEJ LIGA

W 1996 r. ostatni raz zdobyli brązowy medal, a aż 21 lat temu awansowali do strefy medalowej – takie są zdobycze toruńskiego zespołu. Głód sukcesu jest ogromny i wszyscy marzą, by Energa Toruń dopisała nowy rozdział do klubowej historii. Unia Oświęcim miała i ma wysokie aspiracje, ale dwa sezonu wcześniej spełniła oczekiwania i sięgnęła po złoty medal w siódmym meczu w katowickim Satelicie. Teraz pred nami siódma potyczka Energa – Unia, decydująca o awansie do półfinału.

Łaska kibiców...

... na pstrym koniu jeździ – to pasuje jak ulał do zachowania fanów z Oświęcimia. Oni za niepowodzenia, w różnych okresach sezonu, obarczają trenera Roberta Kalabera. Wytworzyła się absurdalna sytuacja i gdy spiker informuje, kto prowadzi zespół... wówczas rozlega się przeraźliwy gwizd. Słowacki szkoleniowiec zapewne jest pod presją i żyje w ogromnym stresie. Nie wiemy czy kiedykolwiek wcześniej znalazł się w takiej sytuacji. Wszystko może się jednak zmienić, ale pod warunkiem końcowego sukcesu, czyli złotego medalu.

To jednak droga daleka, bo przecież przed nami ostatni mecz ćwierćfinałowy. Sytuacja kadrowa Unii nie jest najlepsza, wszak do kontuzjowanych Romana Diukowa, Bartosza Florczaka, Martina Kasperlika dołączył Kanadyjczyk Nick Moutrey. Po powrocie z Torunia hokeiści przeprowadzili trening, a potem długi czas analizowali ostatnie „popisy" w Toruniu.

- Gdy przyszło nam już na chłodno oglądać mecz to on wcale nie był zły w naszym wykonaniu – przekonuje II trener Unii, Krzysztof Majkowski. - A wszyscy wiemy jak się skończył, bo rywal był skuteczniejszy i potrafił wykorzystać nasze potknięcia. Nikogo teraz nie trzeba przekonywać, bo wszyscy wiemy jaka jest stawka. Staramy się zachować spokój, bo nieważne czy wygra się serię 4-0 czy 4-3, ale trzeba ją zapisać na naszą korzyść. I wierzę, że tak będzie i że hokeiści staną na wysokości zadania.

Bez prowokacji

Takiej rywalizacji między tymi drużynami można było oczekiwać, wszak z dotychczasowych jedenastu meczów Torunianie wygrali siedem.

- Z tych ostatnich playoffowych, przegrany mecz w Oświęcimiu 0:4 był najsłabszym w tym sezonie – mów II trener toruńskiej drużyny, Łukasz Podsiadło. - Zupełnie nie istnieliśmy na lodzie, ale szybko wyciągnęliśmy wnioski i już u siebie była inna gra. Spodziewałem się, że o wszystkim może zadecydować ostatnia potyczka. Przede wszystkim nie możemy się dać sprowokować, bo Unia w swoich szeregach ma zawodnika od „czarnej" roboty, Samuela Petraša. Musimy się skupić na własnej grze i skrzętnie realizować plan taktyczny. Jedni i drudzy mają atuty, ale robią błędy. Kto ich zrobi mniej, ten zwycięży. O tym przekonamy na pewno dzisiaj przed 22.00.

Torunianie po wspólnym obiedzie wyruszyli do Oświęcimia i dzisiaj mieli w planie rozruch na lodzie. Kto szybciej opanuje nerwy, ten będzie świętował awans do półfinału!



Fot. PressFocus

Mikołaj Syty (na pierwszym) planie) jest w wysokiej formie i toruńscy kibice liczą na jego skuteczność.

TAURON HOKEJ LIGA

Siódmy ćwierćfinał

Czwartek, 12 marca

OŚWIĘCIM, 19.00: Unia – Energa Toruń 0:3, 3:2, 1:2, 2:1, 4:0, 1:4*

* wyniki meczów ćwierćfinałowych

Mecz transmitowany w TVP Sport

(sow)

TRZY PYTANIA DO...

WOJCIECHA TKACZA,

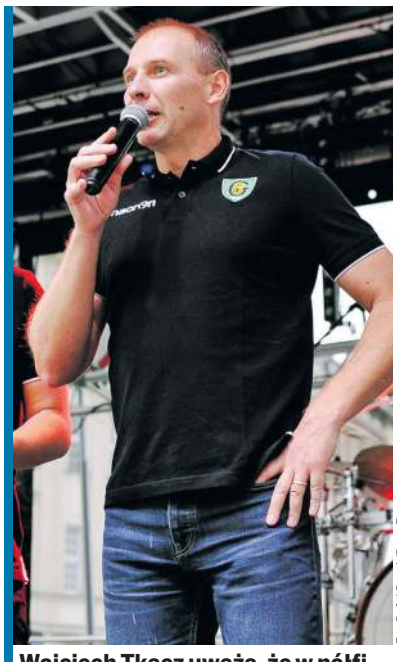
byłego reprezentanta i olimpijczyka, obecnie komentatora TVP Sport

1. Jak postrzegasz trzy zakończone już ćwierćfinały play offu?

- Obyło się bez niespodzianek, bo zespoły z 7. i 8. miejsca mogą wygrać pojedyncze mecze i potwierdziły to w sezonie zasadniczym, jednak w całej serii nie są w stanie zagrozić drużynom wyżej sklasyfikowanym, bo one mają po prostu silniejsze składy. Oczywiście, że bytomskiej Polonii oraz Comarch Cracovii nie można odmówić ambicji i niesłychanej walki, ale w końcowym rozrachunku faworyci okazali się lepsi. Byłem zdziwiony wynikiem pierwszego spotkania w Krakowie, bo gospodarze wygrali z GKS-em Katowice po dogrywce i wyszli na prowadzenie w serii. Potem jednak wszystko wróciło do normy i faworyt zwyciężył.

2. To jak zinterpretować zwycięstwo GieKSy 11:1 w pierwszym meczu i porażkę po karnych w kolejnym?

- Proszę nie doszukiwać się zakulisowych sensacji. Byłem przekonany, że Cracovia jest w stanie wygrać jeden mecz w play offie, a wygrała dwa. To co powiem jest wyświechtane, ale taki jest play off. Jeżeli drużyna przegrywa i nie ma widoków na odrobienie strat, wówczas już tak mocno się nie angażuje i stara się myśleć o kolejnym występie. Następne spotkanie zaczyna się od wyniku 0:0 i wszystko może się zdarzyć. Tu niesłychaną rolę odgrywa strona mentalna. Trener Pasów musiał dokonać właściwej analizy i odpowiednio przygotował zawodników do tej potyczki. Może hokeiści GKS-u „wystrzelali" się w pierwszym meczu, zaś do drugiego podeszli z mniejszą koncentracją. Tak wysoki wynik mógł rozleniwić zespół. W sumie wszystko jednak skończyło się po myśli faworyta.



Fot. Rafał Rusek/PressFocus

Wojciech Tkacz uważa, że w półfinale zagra Energa...

3. Dzisiaj siódme spotkanie pomiędzy Unią i Energą, więc poznamy czwartego półfinalistę. Czy przewidywałeś takie zakończenie tej serii?

- Może zabrzmi to nieskromnie, ale portal hokej.net przeprowadził sondę z udziałem byłych hokeistów i tylko Łukasz Sokół i ja postawiliśmy na zwycięstwo Torunian w serii 4-3. Tak więc to nie jest dla mnie niespodzianka. Klub z Torunia potrzebuje awansu do półfinału, bo byłby on nagrodą za lata pracy i mobilizacją do jeszcze lepszej. Ten ośrodek zasługuje na medal, by mógł się dalej rozwijać. Poprzednio było tak w przypadku Unii, która wygrała z GKS-em Katowice i zdobyła mistrzostwo, co było ukoronowaniem trudu,jaki włożyli hokeiści, trenerzy i działacze. Rok temu tak samo było z GKS-em Tychy. Sukcesy sprawiają, że te ośrodki się rozwijają i mobilizują się do kolejnych inwestycji w hokej. Tylko tak może się rozwijać nasza dyscyplina. A wracając do rywalizacji - sezon potwierdził, że hokeiści z Torunia potrafią wygrywać w Oświęcimiu i teraz też nie są bez szans. Oczywiście, że Unia ma jakościowo lepszy skład, większy potencjał, ale presja na zespół jest ogromna. Kibice są niezwykle wymagający i jeżeli ktoś im podpadnie, a to znam z autopsji (śmiech), to wówczas nie ma litości. Teraz na cenzurowanym jest trener Robert Kalaber, który przecież jeszcze nie przegrał sezonu! Czas na analizę przyjdzie po sezonie i wówczas można wyciągać jakieś wnioski. Teraz nie można działać pochopnie, choć wiemy, że nie wszystkie transfery były udane. Najsolidniej prezentuje się fiński atak Unii, jednak z ocenami wstrzymajmy się do końca rywalizacji.

Rozmawiał Włodzimierz Sowiński

Bramkarska skuteczność

Im bliżej końca sezonu zasadniczego, tym więcej będzie spotkań z niskimi wynikami.

NHL

Jim Nill, dyrektor generalny Dallas Stars, potrafi zadbać o swoich czołowych zawodników. Jake Oettinger, 27-letni bramkarz, w październiku 2024 r. podpisał kontrakt o wartości 66 mln USD, bo jest jednym najlepszych w swoim fachu. Potwierdza to na każdym kroku, a podczas turnieju olimpijskiego w Mediolanie zdobył z USA złoty medal, natomiast w lidze rozegrał w tym sezonie 41 meczów, w których odniósł 26 zwycięstw i zaliczył dwa czyste konta. Wprawdzie w wygranym meczu Dallas z Vegas Golden Knights 2:1 (0:0, 2:1, 0:0) nie zdołał utrzymać zera z tyłu, ale obronił 26 strzałów. Ponadto popisał się świetnymi interwencjami w końcowych fragmentach meczu, kiedy goście wycofali bramkarza i grali w 6 na 5. Oettinger niewątpliwie był twórcą tej wygranej i tym samym Gwiazdy przedłużyły serię punktową do 13 meczów. Są trzecią drużyną w tym sezonie, która ma taką serię, obok Avalanche (17 i 13 meczów) i Tampa Bay Lightning (15). Przypomnijmy, że Stars ustanowiły klubowy rekord 10 zwycięstw z rzędu, a passa ta została przerwa w miniony piątek, kiedy to hitowej potyczce przegrały z Colorado 4:5, po karnych 0-2.

Oettinger został pokonany przez Jack Eichela (22 min), ale potem już nie dał się zaskoczyć. Jego koledzy zadbali, by rywale nie przedostawali się w bezpośrednie sąsiedztwo bramki. W tej sytuacji Rycerze byli zmuszeni uderzać z dalszej odległości i golkiper mógł udanie interweniować. Adin Hill miał znacznie mniej pracy, bo zaliczył „tylko" 14 skutecznych interwencji, ale dwa razy krążek znalazł się w jego bramce. Oskar Back wyrównał (31) w dość szczęśliwych okolicznościach, bowiem krążek odbił się od jego kija po uderzeniu Colina Blackwella. Jamie Benn zdobył zwycięską bramkę (35) w liczebnej przewadze. Im bliżej końca sezonu zasadniczego, tym więcej będzie spotkań z niskimi wynikami, kiedy o wszystkim będzie decydowało jedno trafienie.

I tak właśnie było w przegranym meczu Colorado z Edmonton 3:4 (2:2, 0:1, 1:1). Zwycięskiego gola zdobył Connor McDavid w 50 min w przewadze, a zaliczył jeszcze asystę przy trafieniu Ryana Nugenta -Hopkinsa (9). W klasyfikacji kanadyjskiej ma już 110 pkt (36 goli+74 podań). W tabeli prowadzi Colorado – 95, przed Dallas - 90 i Carolina – 88.

Dallas – Vegas 2:1, Colorado – Edmonton 3:4, Minnesota – Utah 5:0, Carolina – Pittsburgh 5:4 po karnych, Tampa Bay – Columbus 2:5, Florida – Detroit 4:3, Buffalo – San Jose 6:3, Seattle – Nashville 2:4, Boston – Los Angeles 2:1 i St. Louis – NY Islanders 3:4 oba po dogrywkach, NY Rangers – Calgary 4:0, Winnipeg – Anaheim 1:4, Montreal – Toronto 3:1 **(ws)**

Sport 6445383896

Bam-bam-bam! 83 punkty Adebayo!

Niesamowita noc w Miami! Bam Adebayo zadziwił cały koszykarski świat!

NBA

Co za historia! Absolutne zaskoczenie! W tym sezonie mówiło się głównie o Nikoli Jokiciu czy Shai Gilgeous-Alexandrze, o Luce Donciciu czy LeBronie Jamesie. Ale Bam Adebayo? Ale to właśnie 28-letni środkowy dokonał rzeczy niemożliwej, o której będzie się mówiło bardzo długo.

We wtorek w Kaseya Center w Miami na Florydzie kibice byli świadkami historycznych wydarzeń - Bam Adebayo eksplodował, zdobywając aż 83 punkty! Na ten kosmiczny dorobek złożyło się 20 z 43 celnych rzutów z gry, 7 z 22 rzutów za 3 oraz absolutny rekord NBA – 36 z 43 rzutów wolnych. Adebayo dołożył do tego 9 zbiórek, 3 asysty, 2 bloki i 2 przechwyty. Wszystko to w 42 minuty. I rzecz jasna poprowadził Heat do zwycięstwa nad Wizards 150:129. Adebayo miał na koncie 31 punktów po pierwszej kwarcie, 43 do przerwy i 62 na koniec trzeciej odsłony.

Ten wynik to drugi najlepszy rezultat w historii NBA, ustępujący jedynie legendarnym 100 punktom Wilta Chamberlaina (1962 r). Adebayo przebił 81 punktów Kobe'ego Bryanta z 2006 roku i stał się pierwszym graczem w historii organizacji Heat, który przekroczył barierę 70 punktów.

Poprzedni rekord punktowy organizacji Miami Heat należał do LeBrona Jamesa, który 3 marca 2014 roku rzucił 61 punktów przeciwko Charlotte. Najlepszym wynikiem obecnego sezonu do tej pory było 56 punktów Nikoli Jokicia z Denver Nuggets. Adebayo wyprzedził ich obu już w trzeciej kwarcie.

Zarówno liczba celnych, jak i oddanych rzutów wolnych przez Adebayo to nowe rekordy wszech czasów NBA. Poprzedni rekord prób (39) należał do Dwighta Howarda, który osiągnął ten wynik dwukrotnie. Rekord celnych rzutów wolnych w jednym meczu wynosił dotąd 28 i należał do Wilta Chamberlaina oraz Adriana Dantleya.

Z trybun Adebayo oklaskiwała mama, która nie potrafiła ukryć łez wzruszenia. Na konferencji prasowej wraz z nim pojawiła się jego partnerka, A'ja Wilson, legenda parkietów WNBA. To jej poświęcił fragment swojej wypowiedzi. - Zdobycie 83 punktów w pierwszym meczu, na którym się pojawiła, to coś wyjątkowego. To, co dzieje się za kulisami – wspólne treningi, rozmowy – jest niezwykle motywujące. Widzisz, co ona osiąga, i każdego dnia czerpiesz z tego inspirację. Jestem wdzięczny, że mam ją w swoim życiu - mówił koszykarz, a siedząca obok niego dziewczyna tylko się rumieniła. „BAM BAM BAM" - krótko skomentował w mediach społecznościowych historyczny wyczyn kumpla LeBron James.

W cieniu wyczynu Adebayo rozgrywały się inne ciekawe wydarzenia wtorkowej nocy. Warto wspomnieć przede wszystkim o kolejnej wygranej San Antonio Spurs, którzy tym razem pokonali niedawnych mistrzów, Boston Celtics. Gospodarzy do piątego zwycięstwa z rzędu poprowadził Victor Wembanyama. Francuz zdobył 39 punktów, a przy tym zanotował rekord kariery w „trójkach", trafiając zza łuku 8 razy.

Mecz z Celtics był niezwykle nerwowy, co poskutkowało wyrzuceniem z boiska Jaylena Browna oraz chwilowym urazem twarzy francuskiego lidera Spurs. Ekipa z Teksasu zdołała przypieczętować wygraną dzięki kluczowym akcjom w końcówce spotkania.

Philadelphia – Memphis 139:129, Atlanta – Dallas 124:112, Brooklyn – Detroit 100:138, Miami – Washington 150:129, Houston – Toronto 113:99, Milwaukee – Phoenix 114:129, San Antonio – Boston 125:116, Golden State – Chicago 124:130, Portland – Charlotte 101:103, Sacramento – Indiana 114:109, LA Lakers – Minnesota 120:106.

(pp)

Życiówka Borkowskiej!

Znakomity początek okienka reprezentacyjnego - Polska pokonała Słowację i bez porażki prowadzi w grupie.

KWALIFIKACJE EUROBASKETU



Kamila Borkowska stanowiła pod tablicami zaporę nie do przejścia!

Fot. PAP/Marcin Bielecki

Biało-czerwone przystępowały do meczu w Koszalinie z pozycji lidera grupy i z jasnym celem przedłużenia zwycięskiej serii po wcześniejszych triumfach nad Słowacją, Rumunią i Cyprem. Polki opierają swoją siłę na przewadze wzrostu i twardej grze podkoszowej. Słowaczki zamierzały przeciwstawić agresywną obronę oraz dużą jakość rzutową swoich zawodniczek obwodowych. Kluczowym atutem gości było wieloletnie zgranie trzonu zespołu.

Pierwsza połowa to była bitwa na „trójki". To najbardziej rzucający się w oczy element tej części. Polska postawiła na atak z dystansu i to się opłaciło: prawie co drugi rzut zza łuku wpadał do kosza. To wynik powyżej standardów europejskich, który pozwolił Polkom zbudować przewagę. Dominowała w tym elemencie Stephanie Mavunga, która do przerwy miała 13 pkt i 3 trafienia zza 6,25 m (przy 100 proc. skuteczności). Słowaczki miały wyraźny problem z odpowiedzią na polskie „trójki", co przy ich niskiej skuteczności za 2 punkty (25%) stawiało je w trudnej sytuacji. Przyjezdne dodatkowo fatalnie pudłowały z linii osobistych - miały do przerwy skuteczność mniejszą niż 50 procent (4/9 prób)! Polki do przerwy miały 6 „oczek" przewagi (32:26), a gdyby nie aż 10 strat, byłoby jeszcze lepiej.

Po szturmie na początku trzeciej kwarty gospodynie zyskały 11 pkt przewagi (43:32) i wydawało się, że opór rywalek został złamany. Nic z tych rzeczy, bo w czwartej kwarcie zdeterminowane Słowaczki mocno napędziły naszym stracha, zbliżając się na 3 „oczka" (54:51). Doświadczenie Mavungi, pewna ręka z dystansu Klaudii Gertchen, kilka rewelacyjnych asyst Julii Niemojewskiej dały oddech naszej kadrze i nie pozwoliły na porażkę.

To był mecz walki, a nie pięknej gry, co widać po rzutach z gry (41 procent Polski i 31 procent Słowacji). Kluczowe okazały się „trójki" (35 procent wobec ledwie 20 proc. rywalek) oraz rzuty wolne (90 procent Polska i tylko 50 proc. Słowacja). Polki miały też bardzo dużą przewagę pod tablicami (46-36 w zbiórkach), dominowały tu Kamila Borkowska oraz Mavunga (19 zbiórek tego duetu). Ta pierwsza (13 pkt, 11 zbiórek, 2 przechwyty, 2 bloki) rozegrała swój najlepszy mecz w kadrze, pod względem wskaźnika efektywności nie miała sobie równych na boisku!

Polska po raz drugi w tych kwalifikacjach ograła wyżej notowane rywalki ze Słowacji i jest już pewna awansu do drugiej fazy rozgrywek. Biało-czerwone nie mają zbyt wiele czasu na odpoczynek, bo już w sobotę i wtorek kolejne mecze - w Rumunii i na Cyprze.

■ **Polska - Słowacja 63:55 (21:17, 11:9, 15:14, 16:15)**

POLSKA: Niemojewska, Borkowska 13, Pyka 3 (1x3), Gertchen 6 (2x3), Mavunga 18 (2x3) – Wojtala, Mielnicka 2, Banaszak 9 (1x3), Rembiszewska, Wnorowska 4 (1x3), Ułan, Telenga 8. Trener Karol KOWALEWSKI.

SŁOWACJA: Jakubcova 8, Palenikova 14 (2x3), Moravcikova 3 (1x3), Mistinova 8 (2x3), Dudasova 8 (1x3) – Mikulasikova 6, Tarkovicova, Buknova, Lambert 5, Sedlakova, Martiskova 3. Trener Martin POSPISIL.

■ W innym meczu: Rumunia - Cypr 75:60.

1. Polska	4	8	307:203
2. Słowacja	4	6	268:240
3. Rumunia	4	6	247:296
4. Cypr	4	4	233:316

(pp)

Pozwy do szuflady

Chcę budować mosty - zapowiada Chus Bueno, nowy szef Euroligi.

EUROLIGA

W rozmowie z hiszpańskim dziennikiem „Marca" Chus Bueno opowiedział o swoich pierwszych działaniach oraz o pomyśle na współpracę z FIBA i NBA. Bueno zastąpił Pauliusa Motiejunasa. Były zawodowy koszykarz ligi ACB zamienił sportowy trykot na garnitur, odnosząc spektakularne sukcesy w zarządzaniu sportem: był dyrektorem wykonawczym Hiszpańskiej Federacji Koszykówki, a przez kolejne 13 lat wiceprezesem NBA na Europę, Afrykę i Bliski Wschód, współtworzył m.in. afrykańską ligę BAL, wyrastając na jednego z kluczowych architektów globalnego rozwoju koszykówki.

W wywiadzie dla „Marki" Bueno opowiedział o wpływie wojny na Bliskim Wschodzie na rozgrywki ligowe. - Jestem na stanowisku trzy tygodnie i jeden dzień, a już przyszło mi się mierzyć z trudnymi sytuacjami. Byliśmy w kontakcie z ambasadami, ale nikt nie spodziewał się, że konflikt obejmie całą Zatokę. Maccabi, Hapoel i Dubaj już wydostały się z zagrożonych stref i będą grać mecze domowe odpowiednio w Belgradzie, Sofii i Sarajewie. Zareagowaliśmy szybko, liga trwa - ogłosił.

W wywiadzie podjęto temat ewentualnej współpracy z NBA. Paulius Motiejunas planował walkę sądową z Amerykanami. Co z pozwami, którymi groził poprzedni CEO Euroligi przeciwko NBA? - Nie wierzę w taką drogę. Schowałem je do szuflady, sprawa jest wstrzymana. Chcę sprawdzić opcje współpracy. Zarówno kluby, jak i liga są na to gotowe - zdradził. - Dziękuję Adamowi Silverowi i Markowi Tatumowi (szefom NBA) za miłe słowa. Mam z nimi świetne relacje. NBA bada obecnie rynek pod kątem inwestycji w swój nowy produkt. Dali sobie czas do końca miesiąca. Gdy skończą, usiądziemy do rozmów. Jeśli NBA może pozyskać od 2 do 5 miliardów i wejść w europejski ekosystem, to dobra wiadomość. Nasza koszykówka nigdy nie miała takich pieniędzy. Kluczem jest współpraca zamiast podziałów, które tylko marnują fundusze.

Bueno zdradził też jaki ma plan względem klubów. W planie jest przekształcenie stałych licencji we franczyzy. - Euroliga musi mieć plan co najmniej trzyletni. Chcemy zrezygnować z tymczasowych licencji, które nie sprzyjają długofalowym inwestycjom, np. w budowę hal. Planujemy to wdrożyć od sezonu 2027/28. Chcemy się rozszerzać stopniowo – 2-3 nowe rynki rocznie. Już mamy oferty rzędu 300 mln euro za 10-letnie licencje. Wierzymy, że w ciągu 3 lat możemy podnieść wycenę ligi i klubów do 2,5 miliarda euro.

Nowy szef ma nadzieję, że wszystkie kluby związane obecnie z Euroligą przedłużą z nią umowy. Chodzi tu o Real Madryt, Fenerbahce i ASVEL. - Możemy poczekać do początku kwietnia. Liczę na wszystkich. Real to najważniejsza marka i oczywiście chcemy go tutaj - zapewnił.

(p)

Sport 6445383896



Fot. PAP/EPA

Iga Świątek dobiegała niemal do każdej piłki uderzonej przez Karolinę Muchovą.

„ROWEREK" CHWALIŃSKIEJ

■ Maja Chwalińska (134. WTA) nie dała żadnych szans tureckiej 17-latce Adzie Kumru (1074.), odwiozła rywalkę „rowerkiem" 6:0, 6:0 i awansowała do drugiej rundy trzeciego challengera WTA 125 na kortach ziemnych w Antalyi. O ćwierćfinał 24-letnia tenisistka z Bielska-Białej powalczy ze Słowenką Tamarą Zidansek (148.), z którą w zeszłym tygodniu w Turcji wygrała Katarzyna Kawa. Tenisistka z Krynicy-Zdroju w czwartek także powalczy o czołową „ósemkę" - z Hiszpanką Leyre Romero Gormaz (144.).

To był najlepszy mecz!

Iga Świątek nadspodziewanie gładko zakończyła zwycięską serię Karoliny Muchovej i awansowała do ćwierćfinału w Indian Wells. W takiej formie może myśleć przynajmniej o finale.

INDIAN WELLES

Karolina Muchova przyjechała na tegoroczny BNP Paribas Open w Kalifornii w znakomitej formie i z dużym rozpędem. Niedawno wygrała turniej rangi WTA 1000 w Dosze, do środy legitymowała się serią ośmiu zwycięstw (najdłuższą aktualnie w WTA Tour) i 14 w ostatnich 16 meczach. Ale w czwartej rundzie w Indian Wells 29-letnia tenisistka z Ołomuńca, 13. na świecie, zmierzyła się z wiceliderką rankingu Igą Świątek - podobnie zresztą jak 12 miesięcy wcześniej.

I w 2026 roku wszystko wyglądało niemal dokładnie tak, jak rok temu. Wówczas Polka również wyeliminowała Czeszkę w 1/8 finału, oddając jej zaledwie dwa gemy (6:1, 6:1).

3

INDIAN WELLS jest trzecim najbardziej udanym turniejem w karierze Igi Świątek pod względem liczby zwycięstw - ma w nim już 25 wygranych meczów. Więcej razy schodziła z kortu w roli zwyciężczyni w Roland Garros (40) i Australian Open (26).

Po prostu świetnie!

Tym razem mecz również był niezwykle jednostronny. Rozstawiona z numerem 2 Świątek rozegrała - biorąc pod uwagę cały dotychczasowy sezon - prawdopodobnie swój najlepszy mecz, wygrywając 6:2, 6:0. - Tak, zdecydowanie czułam się świetnie. Miałam wrażenie, że gram coraz lepiej i lepiej. Po prostu świetnie - powiedziała podopieczna Wima Fissette'a w pomeczowym wywiadzie na korcie.

Był to prawdziwy pokaz mistrzowskiej gry Świątek, przypominający jej dominację z sezonu 2022. Wszystko działało perfekcyjnie. Jej forehand z mocnym topspinem funkcjonował w klasycznej, „starej dobrej" formie. Polka bardzo lubi wolniejsze twarde korty, a w środę czytała serwis Muchovej niemal telepatycznie - często ruszała do piłki jeszcze zanim ta opuściła rakietę rywalki.

Przełomowy okazał się szósty gem pierwszego seta, gdy Świątek wykorzystała drugą piłkę na przełamanie serwisu rywalki. Potem z dużą swobodą wygrała pozostałe gemy, przełamała Muchovą aż pięć razy, ani razu nie musiała bronić break-pointa. Przy stanie 5:0 w drugim secie poślizgnęła się i złapała za kostkę, ale po chwili wróciła do gry i dokończyła mecz.

- To był bardzo dobry mecz, wykorzystałam swoje mocne strony. Wróciłam do bardziej solidnej gry. Celem było mniej strzelania i podejmowania bezsensownego ryzyka - zauważyłaŚwiątek w rozmowie z dziennikarzem Canal+.

W czwartek o półfinał

Świątek zmierzyła się z Muchovą po raz szósty. Przegrała tylko pierwsze spotkanie - w 2019 roku w Pradze. Dwa kolejne były trzysetowymi bojami, w tym finał French Open 2023. - To moja ulubiona zawodniczka WTA do oglądania, więc naprawdę miło jest też grać przeciwko niej. W zasadzie może być jedyną zawodniczką, którą oglądam, więc może dlatego tak dobrze wyczuwam jej sposób gry - wyjaśniła Raszynianka, która do ćwierćfinału w Indian Wells dotarła po raz piąty z rzędu, dwa razy wygrała turniej (2022, 2024). W tegorocznej edycji pokonała wcześniej bez straty seta Amerykankę Kaylę Day oraz Greczynkę Marię Sakkari, swoją przeciwniczkę w dwóch zwycięskich finałach.

W środowej formie Iga może realnie myśleć przynajmniej o finale - pierwszym w tym roku... Na razie - już w czwartek - zagra w ćwierćfinale albo z Ukrainką Eliną Switoliną, albo inną Czeszką Kateriną Siniakową, która w 3. rundzie wyeliminowała broniącą tytułu Rosjankę Mirrę Andriejewą.

Fonseca się postawił

W Indian Wells równocześnie rozgrywany jest turniej ATP Masters 1000, już dawno bez Polaków - Hubert Hurkacz przegrał w 1. rundzie, a Kamil Majchrzak z Novakiem Djokoviciem w drugiej.

We wtorek 19-letni Joao Fonseca mocno postawił się w 1/8 finału wiceliderowi rankingu Jannikowi Sinnerowi. W tie-breaku pierwszego seta reprezentant Brazylii prowadził 6-3 i miał trzy piłki setowe. W drugim o 5 lat starszy Włoch nie wykorzystał prowadzenia 5:2, by zamknąć mecz, ale w tie-breaku od stanu 3-4 wykazał się mocnym finiszem. Ostatecznie górę w wyczekiwanej pierwszej potyczce dwóch młodych gwiazd światowego tenisa wzięły zimna krew i doświadczenie Tyrolczyka, który zwyciężył 7:6 (8-6), 7:6 (7-4). Sinner awansował do swojego trzeciego ćwierćfinału w Kalifornii.

- Joao jest niesamowitym zawodnikiem, ogromnym talentem, bardzo potężnym z obu stron. Serwował dziś bardzo dobrze. Pod koniec drugiego seta trochę spadła moja intensywność, ale on grał tam niesamowity tenis. Atmosfera była fantastyczna, więc jestem bardzo zadowolony z tego meczu - podsumował Sinner.

(ToM)

Królewski zastąpi Legię

BOKS

Nowy klub ze stolicy Małopolski dołączy do Polskiej Ligi Boksu. Królewski Kraków zastąpi aktualnych mistrzów kraju - Legię Warszawa, która wycofała zespół z rywalizacji z powodów finansowych.

Kraków ma spore tradycje bokserskie. W 1933 roku drużyna Wawelu wywalczyła brązowy medal mistrzostw Polski. Wisła była druga w 1954, a trzecia rok później. Wielu znakomitych bokserów przewinęło się przez Hutnika, z najwybitniejszym - brązowym medalistą olimpijskim z 1968 roku w Meksyku - Stanisławem Draganem. Klub z Nowej Huty ma w swoim dorobku trzy tytuły wicemistrzowskie w 1962, 1963 i 1966 roku. W ostatnich latach sukcesy na zawodowych ringach odnosili wychowankowie Wisły - Mariusz Wach i Artur Szpilka.

Prezes Małopolskiego Związku Bokserskiego Piotr Snopkowski nie krył zadowolenia, że drużyna z Krakowa przystąpi do rywalizacji w ekstraklasie.

- To jest potężny projekt, ale też potężne wyzwanie i trampolina dla zawodników na wyższe szczeble ich kariery - powiedział.

Prezes Królewskiego Paweł Nostkiewicz przyznał, że stworzona drużyna wchodzi do ligi ze sporym potencjałem.

- Jesteśmy bardzo ambitni, nie chcemy spoczywać na laurach, więc uważamy, że możemy pokazać w Polskiej Lidze Boksu, na co nas stać. W Małopolsce mamy bardzo dobrych zawodników - zapewnił.

Właśnie na bokserach z tego województwa ma się opierać zespół, ale uzupełniać go mają zawodnicy zagraniczni. Sztab trenerski będą tworzyć: Dariusz Dębiec, Piotr Szczurek, Mateusz Matyja i Tomasz Winiarski.

Pierwszy mecz z RKB Wisłok 1995 Rzeszów odbędzie się 21 marca w hali Wisły, ale kolejne mają zagościć także w halach Hutnika na Suchych Stawach, Stulecia Cracovii i XXX LO na os. Dywizjonu 303.



Fot. FB/Królewski Kraków

Prezes Paweł Nostkiewicz (z lewej) wierzy, że drużyna spod Wawelu wniesie do PLB spory potencjał.

Hoerl zakończył sezon

SKOKI NARCIARSKIE

Austriacki skoczek narciarski Jan Hoerl, który w niedawnych igrzyskach olimpijskich zdobył złoty medal w konkurencji duetów, w tym sezonie Pucharu Świata już nie wystartuje. Austriacki Związek Narciarski (OESV) poinformował, że 27-latek zmaga się z kontuzją pleców. W klasyfikacji generalnej PŚ zajmuje ósme miejsce. Zabrakło go już na przełomie lutego i marca w zawodach na mamucie w Bad Mitterndorf. Później startował w Lahti, ale jak się okazało, było to jego pożegnanie z sezonem. W igrzyskach Mediolan-Cortina d'Ampezzo Hoerl złoto zdobył w parze ze Stephanem Embacherem.

Do końca obecnego cyklu PŚ pozostały zawody w Oslo, Vikersund i Planicy. Pewny zdobycia Kryształowej Kuli jest już Słoweniec Domen Prevc.



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

No to do następnej zimy...

Sport 6445383896

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 12 MARCA

TVP SPORT
8.55, 12.25 Igrzyska paralimpijskie (na żywo); 15.10 Biathlon: PŚ w Otepaa, bieg sprinterski mężczyzn (na żywo); 16.40 Biegi narciarskie: PŚ w Drammen, bieg sprinterski stylem klasycznym kobiet i mężczyzn (na żywo); 18.50 Hokej: Tauron Hokej Liga, mecz ćwierćfinałowy (na żywo)

EUROSPORT 1
13.10 Narciarstwo dowolne: PŚ w Montafonie, ski cross (na żywo); 16.20 Biegi narciarskie: PŚ w Drammen, bieg sprinterski stylem klasycznym kobiet i mężczyzn (na żywo); 18.40 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, Kolstad Handball – Industria Kielce (na żywo)

EUROSPORT 2
13.05 Kolarstwo: Wyścig Tirreno – Adriatico, 4. etap, 15.45 Wyścig Paryż – Nicea, 5. etap (na żywo); 18.00 Golf: The Players Championship (na żywo)

POLSAT SPORT 1
18.35 Pn: Liga Konferencji, Lech Poznań – Szachtar Donieck, 20.50 Fiorentina – Raków Częstochowa (na żywo); 1.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT 2
17.30 Siatkówka: Tauron Liga, Moya Radomka – Lotto Chemik Police, 20.15 Liga Mistrzów, Knack Roeselare – Asseco Resovia (na żywo)

POLSAT SPORT 3
19.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo); 20.00 Siatkówka: PLS 1. Liga, Astra Nowa Sól – GKS Katowice (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 1
18.35 Pn: Liga Europy, Stuttgart – FC Porto, 20.50 Celta Vigo – Olympique Lyon (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
18.35 Pn: Liga Europy, Bolonia – AS Roma, 20.50 Nottingham Forest – FC Midtylland (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 3
18.35 Pn: Liga Europy, Lille – Aston Villa, 20.50 Genk – Freiburg (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4
18.35 Pn: Liga Europy, Panathinaikos Ateny – Real Betis Balompie, 20.50 Liga Konferencji, Sigma Otomuniec – Mainz (na żywo)

POLSAT SPORT FIGHT
20.00 Siatkówka: PLS 1. Liga, Astra Nowa Sól – GKS Katowice (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
18.35 Pn: Liga Konferencji, Lech Poznań – Szachtar Donieck (na żywo); 1.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
20.50 Pn: Liga Konferencji, Fiorentina – Raków Częstochowa (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
19.00Tenis: Turniej WTA w Indian Wells (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
4.10 Formuła 1: GP Chin, sesja treningowa (na żywo)

Finisz w... karetce

Jonas Vingegaard wygrał czwarty etap i objął prowadzenie w klasyfikacji generalnej.

PARYŻ-NICEA

Utytułowany duński kolarz z drużyny Visma-Lease a Bike finiszował samotnie na rozgrywanym w deszczu, zimnie i wietrze etapie z metą w miejscowości Uchon. Jonas Vingegaard wyprzedził dwóch ostatnich towarzyszy ucieczki, zawodników ekipy Red Bull-Bora-hansgrohe - o 41 sek. Kolumbijczyka Daniela Felipe Martineza oraz o 45 Holendra Tima van Dijke. Kolejni kolarze ponieśli znaczne straty.

Etap miał chaotyczny przebieg. Doszło do wielu kraks, w których ucierpieli m.in. dotychczasowy lider, Hiszpan Juan Ayuso, a także zajmujący drugie miejsce na starcie etapu w Bourges Francuz Kevin Vauquelin oraz triumfator ubiegłorocznego Tour de Pologne Amerykanin Brandon McNulty. Ayuso został odwieziony karetką do szpitala.

Polacy dojechali pod koniec stawki: Michał Kwiatkowski ze stratą ponad 26 minut, a Kamil Gradek - ponad pół godziny.

Vingegaard przyznał, że nie spodziewał się tak „szalonego etapu".

- Mieliśmy plan i chcieliśmy zaatakować na przedostatnim podjeździe, ale od samego początku wyścig toczył się na pełnym gazie. Cały dzień jechaliśmy na granicy możliwości, a wszystko działo się niesamowicie szybko. Nie miałem nawet czasu, żeby się przebrać – powiedział Duńczyk, który musiał improwizować, zakładając pod koniec etapu „niekonwencjonalne" spodnie na strój kolarski.


Fot. PAP/EPA

Jonas Vingegaard poniżej pewnego poziomu nie schodzi.

Dwukrotny zwycięzca Tour de France odniósł się również do wypadku Juana Ayuso.

- W zeszłym roku miałem tutaj kraksę i musiałem oddać prowadzenie. Takie rzeczy się zdarzają - skomentował.

Różnice w czołówce klasyfikacji generalnej są bardzo duże: Vingegaard ma przewagę 52 sekund nad Martinezem oraz 3:20 nad piątym na mecie w Uchon Niemcem Georgiem Steinhauserem.

W środę Vingegaard odniósł 41. zwycięstwo w karierze. W dorobku ma triumfy w Tour de France (2022, 2023), Vuelta a Espana (2025), a także w Tirreno-Adriatico i Tour de Pologne (oba w 2024).

Wyścig najwyższej kategorii World Tour zakończy się w niedzielę w Nicei.

4. etap, Bourges - Uchon (195 km): 1. Jonas Vingegaard (Dania/Visma-Lease a Bike) 4.16:12, 2. Daniel Felipe Martinez (Kolumbia/Red Bull-Bora-hansgrohe) strata 41 sek., 3. Tim van Dijke (Holandia/Red Bull-Bora-hansgrohe) 45, 4. Mick van Dijke (Holandia/Red Bull-Bora-hansgrohe) 1:42, 5. Georg Steinhauser (Niemcy/ EF Education-EasyPost) 2:54, 6. Kevin Vauquelin (Francja/Ineos Grenadiers) 3:38... **78. Michał Kwiatkowski (Ineos Grenadiers) 26:29, 102. Kamil Gradek (Bahrain-Victorious) 31:59**

Klasyfikacja generalna: 1. Vingegaard 12.53:15, 2. D. F. Martinez strata 52 sek., 3. Steinhauser 3:20, 4. Vauquelin 3:39, 5. David Gaudu (Francja/Groupama-FDJ United) 5:02, 6. Lenny Martinez (Francja/Bahrain Victorious) 5:07... **69. Kwiatkowski 29:12, 107. Gradek 36:0**l

Etap dla Andresena

TIRRENO-ADRIATICO

Duńczyk Tobias Andresen z ekipy Decathlon CMA CGM Team wygrał w miejscowości Magliano de'Marsi trzeci etap wyścigu Tirreno-Adriatico. Koszulkę lidera zachował Meksykanin Isaac del Toro (UAE Team Emirates-XRG). Andresen najszybciej finiszował z peletonu, wyprzedzając Belgów Arnauda De Lie (Lotto Intermarche) i Jaspera Philipsena (Alpecin-Premier Tech).

Polacy w tegorocznym wyścigu między morzami, zaliczanym do cyklu World Tour, nie startują. W 2018 roku imprezę wygrał Michał Kwiatkowski. Siedmioetapowy wyścig zakończy się w niedzielę.

3. etap, Cortona/Italien - Magliano de'Marsi (221 km): 1. Tobias Andresen (Dania/Decathlon CMA CGM Team) 5.29:22, 2. Arnaud De Lie (Belgia/Lotto Intermarche), 3. Jasper Philipsen (Belgia/Alpecin-Premier Tech), 4. Paul Magnier (Francja/Soudal Quick-Step), 5. Ivan Garcia Cortina (Hiszpania/Movistar), 6. Sam Welsford (Australia/ Ineos Grenadiers) ten sam czas

Klasyfikacja generalna: 1. Isaac del Toro (Meksyk/UAE Team Emirates-XRG) 10.35:22, 2. Giulio Pellizzari (Włochy/Red Bull-Bora-hansgrohe) strata 4 sek., 3. Magnus Sheffield (USA/Ineos Grenadiers) 14, 4. Alan Hatherly (RPA/Jayco AlUla) 18, 5. Primoz Roglic (Słowenia/Red Bull-Bora-hansgrohe) 19, 6. Antonio Tiberi (Włochy/Bahrain Victorious) 21

Rajd Safari na kenijskich bezdrożach

SAMOCHODY

Weekend zostanie rozegrana trzecia runda samochodowych mistrzostw świata - Rajd Safari. Po dwóch rundach liderem jest Brytyjczyk Elfyn Evans (Toyota Yaris Rally1), kolejne miejsca także zajmują kierowcy japońskiego zespołu - Szwed Oliver Solberg i Japończyk Takamoto Katsuta.

Safari jest uważany za najtrudniejszą szutrową rundę mistrzostw świata. Kamieniste trasy odcinków specjalnych, głębokie koleiny, wiszący w powietrzu pył „fesh-fesh", gwałtowne zmiany warunków atmosferycznych sprawiają, że już dojechanie do mety dla wielu kierowców jest sukcesem.

W tym roku trasa została znacznie zmieniona, zrezygnowano z uroczystego startu w Nairobi oraz z superoesu w Kasarani, rywalizacja będzie się toczyła w rejonie miasta Naivasha. Przygotowano 20 OS-ów o długości 350 km. To będzie najkrótsza edycja Safari od powrotu rajdu do kalendarza WRC w 2021 roku.

Na liście zgłoszeń jest 46 załóg; najwięcej, bo aż pięć ekip wystawia lider klasyfikacji producentów - Toyota. To team, który jest niepokonany w afrykańskiej rundzie od momentu jej powrotu do kalendarza mistrzostw świata.

Do Toyoty wraca dziewięciokrotny mistrz świata, Francuz Sebastien Ogier. Obok niego w barwach tego zespołu pojadą Evans, Solberg i Katsuta oraz Fin Sami Pajari. Silną reprezentację wystawi również Hyundai, który dotychczas nigdy nie zwyciężył w Kenii wśród konstruktorów. Hyundaiem I20 Rally1 pojadą Belg Thierry Neuville, Francuz Adrien Fourmaux i Fin Esapekka Lappi. W teamie Ford M-Sport znaleźli się dwaj Irlandczycy Joshua McErlean oraz Jon Armstrong.

W kategorii WRC2 też będzie mocna obsada. Do rywalizacji wraca mistrz świata Norweg Andreas Mikkelsen (Skoda Fabia RS Rally2), który ma w kolekcji dwa tytuły mistrza WRC2 oraz mistrzostwo Europy. O trzecie z rzędu zwycięstwo w Safari chce powalczyć Brytyjczyk Gus Greensmith, który po trzech sezonach startów Skodą Fabią przesiada się do Toyoty GR Yaris Rally2. Jedyną polską załogą w tegorocznej edycji będzie Daniel Chwist z Kamilem Hellerem (Skoda Fabia RS Rally2).

Rajd rozpocznie się w czwartek od nowego odcinka testowego Nawisa o długości 6,31 km, zlokalizowanego tuż przy parku serwisowym w Naivashy. Tego samego dnia rozegrane będą dwa odcinki Camp Moran oraz Mzabibu. Pierwszy z nich ma 24,5 km, jest bardzo wąski, fragmentami prowadzi po kamienistej nawierzchni.

Piątek będzie najdłuższym dniem rywalizacji, do przejechania będzie 136 km odcinków specjalnych. W sobotę na trasie kierowcy spotkają szybkie proste na sawannie, fragmenty w lasach z mocno zniszczoną nawierzchnią, która w przypadku opadu deszczu zamienia się w błotne bajora.

W niedzielę w programie są dwie dwukrotnie pokonywane próby Oserengoni oraz Hell's Gate. Ta druga będzie areną Power Stage, gdzie będzie można zdobyć dodatkowe punkty do klasyfikacji generalnej mistrzostw świata.

Po dwóch rundach w klasyfikacji generalnej prowadzi Evans - 60 pkt, przed Solbergiem - 47 i Katsutą - 30 pkt. Następną, czwartą rundą mistrzostw świata będzie Rajd Chorwacji w dniach 10-12 kwietnia.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Tomasz MUCHA
Redaktor wydania Marek HAJKOWSKI
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport 6445383896



Fot. Michał Laudy/PressFocus

Justyna Święty-Ersetic (od lewej), Natalia Bukowiecka i Anna Gryc powinny powalczyć o medale indywidualnie na 400 m i w sztafetach...

Biało-czerwoni celują w medale

Trzydziestu jeden zawodników i zawodniczek zostało powołanych do reprezentacji Polski, która od 20 do 22 marca wystartuje w halowych mistrzostwach świata w Toruniu.

W składzie Biało-czerwonych na HMŚ Kujawy Pomorze 2026 jest szesnaście kobiet i piętnastu mężczyzn, choć liczba ta może jeszcze nieznacznie się powiększyć.

- Mamy kilka szans medalowych, a impreza sezonu u siebie sprzyja uzyskaniu cennych wyników - przekonuje prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, Sebastian Chmara.

Po dwunastu latach Polska ponownie zaprosi lekkoatletyczny świat na halowe mistrzostwa globu. W 2014 roku zawody odbyły się w Sopocie, teraz wielkie święto sportu będzie miało miejsce w Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń. W Ergo Arenie Biało-czerwoni zdobyli trzy medale, a ten najcenniejszy wywalczyła w skoku wzwyż Kamila Lićwinko (wspólnie z Rosjanką Marią Kuczyną - dziś reprezentacji kraju-agresora na Ukrainę zabraknie w HMŚ).

Maria jak Kamila?

Teraz jedną z największych polskich nadziei medalowych jest Maria Żodzik, także startująca w skoku wzwyż.

– Nasza wicemistrzyni świata z Tokio w ostatnich startach pokazywała, że forma jest zwyżkująca i w Toruniu będzie walczyć o medal. Analogia do występu Kamili w Sopocie jest naturalna. Będziemy mocno trzymać kciuki za Marię już w pierwszej sesji mistrzostw, bo finał jej konkurencji zaplanowano na piątkowe przedpołudnie – mówi, cytowany przez pzla.pl, prezes Chmara.

Jak zaznacza szef polskiej federacji, nasi zawodnicy solidnie przepracowali okres przygotowawczy do imprezy. Organizacja mistrzostw w Polsce była dla nich dodatkową motywacją.

– Impreza sezonu we własnym kraju zawsze bardziej mobilizuje i to nie jest frazes, to fakt. Widziałem z jaką ambicją przygotowywali się nasi zawodnicy do startów halowych i to dało efekty wynikowe. Świetnie biega na 800 m Maciek Wyderka, który poprawił rekord Polski Adama Kszczota. Mamy szybką Ewę Swobodę, świat z podziwem patrzy na nasz płotkarski duet, Pia Skrzyszowska i Jakub Szymański. Podsumowując, szans medalowych jest kilka, a nasi zawodnicy – mówiąc kolokwialnie – tanio skóry nie sprzedadzą – uważa Chmara.

Szymański do powtórki

Wśród wymienionych przez Chmarę zawodników, którzy mają walczyć w Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń o medale, jest Jakub Szymański. 23-latek z Sopotu przed kilkoma dniami wyśrubował rekord Polski na 60 m ppł do poziomu 7,37, więc do HMŚ przystąpi jako współlider światowych tabel, obok dwóch Amerykanów.

– Czuję się faworytem, mimo iż jest nas na czele listy trzech. Wiem, że stać mnie na szybsze bieganie. Jeśli złożę odpowiednio bieg, to mogę uzyskać w Toruniu wynik na poziomie 7,35. To powinno dać złoto, wierzę, że jest to w moim zasięgu - buńczucznie zapowiada Szymański, który rok temu w HMŚ w Nankinie był jednym z faworytów, ale już w eliminacjach trącił płotek i nie wszedł do finału...

Prezes PZLA zapomniał na pewno o sztafetach, zwłaszcza tej mieszanej, która jako jedyna konkurencja debiutuje w programie halowych MŚ. Polacy - mistrzowie olimpijscy z Tokio (2021) i czwarta drużyna ubiegłorocznych MŚ na stadionie w stolicy Japonii - powinni mocno liczyć się w finale.

Ostatecznie w składzie kadry nie znalazła się borykająca się z drobnym urazem płotkarka Alicja Sielska, która wypełniła minimum kwalifikacyjne.

1

TYLKO

Justyna Święty-Ersetic z powołanych w środę 31 lekkoatletów startowała w poprzednich HMŚ w Polsce, 12 lat temu w Sopocie. Biegaczka z Raciborza była wówczas dwukrotnie czwarta - indywidualnie na 400 m oraz w sztafecie 4x400.

Odrzucili „doktórkę"

PZLA nie wykorzysta żadnej „dzikiej karty", jakie przysługują gospodarzowi wydarzenia. – Zgłoszenia, przede wszystkim w konkurencjach technicznych, nie mogą odstawać od poziomu sportowego imprezy, jakiego wymaga World Athletics. Tak naprawdę to właśnie światowa federacja podejmuje ostateczną decyzję, czy dany zawodnik to kryterium spełnia – tłumaczy wiceprezes PZLA, Marek Plawgo.

Tak „brutalnie" właśnie został potraktowana m.in. Zofia Gaborska, która w tym sezonie poprawiała rekord życiowy o tyczce. Polska wystąpiła o „dziką kartę" dla 22-letniej „doktórki" (studentki medycyny na Pomorskim Uniwersytecie Medycznym w Szczecinie) i podopiecznej Marcina Szczepańskiego, ale jej 4,45 m ostatecznie nie znalazło uznania w oczach World Athletics...

Skład reprezentacji Polski może zostać jeszcze zwiększony o zawodników, którzy kwalifikację uzyskują w wyniku relokacji. Na dziś nominację z tego tytułu uzyskał biegający na 1500 m Kamil Herzyk, a bliska jej jest Julia Jaguścik na 800 m, która na razie „przegrywa" z legitymującą się takim samym wynikiem w tabelach biegaczką z Nowej Zelandii (Polka ma słabszy drugi rezultat).

(ToM)

SKŁAD POLSKI NA HMŚ 2026

KOBIETY

60 m - Magdalena Stefanowicz (AZS AWF Katowice), Ewa Swoboda (Podlasie Białystok)
400 m, sztafety 4x400 m - Natalia Bukowiecka (Podlasie Białystok), Justyna Święty-Ersetic (AZS AWF Katowice)
800 m - Anna Wielgosz (CWKS Resovia Rzeszów)
1500 m - Klaudia Kazimierska (LKS Vectra Włocławek)
60 m ppł. - Pia Skrzyszowska (AZS AWF Warszawa)
Skok wzwyż - Maria Żodzik (Podlasie Białystok)
Skok w dal - Anna Matuszewicz (MKL Toruń)
Pięciobój - Paulina Ligarska (SKLA Sopot), Adrianna Sułek-Schubert (Brda Bydgoszcz)
4x400 m - Weronika Bartnowska (AZS AWF Warszawa), Anna Maria Gryc (AZS AWF Warszawa), Anastazja Kuś (AZS UWM Olsztyn), Marika Popowicz-Drapała (CWZS Zawisza Bydgoszcz SL), Klaudia Osipiuk (AZS AWF Biała-Podlaska)

MĘŻCZYŹNI

60 m - Dominik Kopeć (Agros Zamość), Oliwer Wdowik (CWKS Resovia)
800 m - Filip Ostrowski (KKL Radło Kwidzyn), Maciej Wyderka (AZS AWF Katowice)
1500 m - Kamil Herzyk (SLiS JUST TEAM Bielsko-Biała)
60 m ppł. - Damian Czykier (Podlasie Białystok), Jakub Szymański (SKLA Sopot)
Skok wzwyż - Mateusz Kołodziejski (CWZS Zawisza Bydgoszcz SL)
Pchnięcie kulą - Konrad Bukowiecki (AZS UWM Olsztyn)
Sztafety 4x400 m - Kajetan Duszyński (AZS Łódź), Marcin Karolewski (OŚ AZS Poznań), Mikołaj Pyszka (OŚ AZS Poznań), Mateusz Rzeźniczak (MKS Aleksandrów Łódzki), Wiktor Wróbel (AZS Łódź), Remigiusz Zazula (AZS UMCS Lublin)

TRZY PYTANIA DO...

JERZEGO SKUCHY, byłego prezesa Polskiego Związku Lekkiej Atletyki (2009-16)



1. Czy w składzie naszej reprezentacji kogoś z czołowych lekkoatletów panu brakuje?

- Wydaje mi się, że wystawimy wszystkich, którzy mogą wystartować i w ogóle potraktowali poważnie halę. Brakuje oczywiście kilku nazwisk, jak choćby Weroniki Lizakowskiej na 1500 m, ale rekordzistka Polski na stadionie, w hali w ogóle nie startowała. Szkoda, że w ostatniej chwili wypadła płotkarka Alicja Sielska, która uzyskała kwalifikację - szkoda głównie z punktu widzenia młodej zawodniczki, która zebrałaby cenne doświadczenie, ale szansy medalowej przez to nie tracimy. Na 60 metrów ppł liczymy na Pię Skrzyszowską.

2. W takim razie na ile medali ze strony naszej reprezentacji polscy kibice mogą liczyć?

- Widziałem plakat naszej federacji ze składem reprezentacji i tam są cztery postacie: Natalia Bukowiecka - na 400 metrów, Maria Żodzik - w skoku wzwyż, Jakub Szymański - na płotkach i Maciej Wyderka - nowy rekordzista kraju na 800 m. No i faktycznie to są nasze główne atuty, o ile przyjmiemy, że Szymański ukończy rywalizację... Postawiłbym na trzy medale, bo z reguły z medalowych szans wychodzi mniej więcej połowa, czasem ktoś z faworytów zawodzi, ale niespodziankę sprawia ktoś inny.

3. Trzy medale zdobyliśmy w 2014 roku w Sopocie, gdy był pan prezesem PZLA. Jak pan wspomina tamte mistrzostwa?

- To były piękne zawody i chwile, choć pamiętam też trudne potyczki organizacyjne z ówczesnym prezydentem Sopotu Jackiem Karnowskim. No więc te trzy medale wtedy to było takie minimum, bo wydawało się, że byliśmy większą potęgą lekkoatletyczną niż jesteśmy teraz. No i przypomnę, że czwarty medal - brązowy na 800 m mężczyzn - straciliśmy w ostatniej chwili po proteście Brytyjczyków, którzy wypatrzyli, że Marcin Lewandowski nadepnął na krawężnik i przekroczył linię. Srebro w tym biegu świętował Adam Kszczot.

Rozmawiał Tomasz Mucha

Sport 6445383896

Domowe zwycięstwo

Australijka Kelsey Bennett wygrała w Australian Women's Classic. To jej pierwszy triumf w turnieju Ladies European Tour, w dodatku w rodzinnej Nowej Południowej Walii.

Grając przed własną publicznością wykazała się ogromnym opanowaniem, wygrywając z aż czterema uderzeniami przewagi. Nic dziwnego, że 26-latka to zwycięstwo określa jako „największe i najlepsze". Runda finałowa, rozgrywana w niemal huraganowym wietrze, a momentami w strugach zacinającego w poprzek deszczu, wreszcie przerwana z powodu potężnej ulewy, wbrew temu co pokazuje końcowy wynik była naprawdę pasjonująca.



Najważniejsze jest selfie z trofeum!

Fot. Facebook Ladies European Tour

Przetasowania

Kelsey Bennett rozpoczęła niedzielę z przewagą jednego uderzenia nad dwiema Angielkami – debiutantką Caley McGinty oraz trzykrotną zwyciężczynią LET Meghan MacLaren. McGinty od razu przystąpiła do ataku, notując dwa birdie na pierwszych trzech dołkach, co błyskawicznie pozwoliło jej zrównać się z Australijką. Bennett postawiła się, odpowiadając trafieniem birdie na trójce i piątce, po czym wpadła w kłopoty, notując trzy bogeye z rzędu na dołkach 6, 7 i 8. Jak się później okazało na jej szczęście, w połowie rundy nad polem przeszła potężna ulewa połączona z silnym wiatrem, która zmusiła zawodniczki do szukania schronienia pod parasolami, a po chwili gra została przerwana. Po wznowieniu Bennett odzyskała rytm. Kluczowe okazały się dwa birdie z rzędu na trzynastce i czternastce, co pozwoliło jej odskoczyć na trzy strzały przewagi. Losy turnieju przypieczętował siedemnasty dołek, na którym McGinty posłała piłkę poza granice pola, kończąc marzenia o zwycięstwie soczystym bogeyem, podczas gdy Bennett odpowiedziała trafiając tam birdie, zwiększając przewagę do czterech uderzeń. Pomimo trafienia do bunkra na fairwayu osiemnastego dołka, zaliczając tam bogeya i tak zapewniła sobie czteropunktowe zwycięstwo. Ostatecznie Australijka zakończyła walkę z imponującym wynikiem -13, wykręcając -1 w szalonej pogodzie w rundzie finałowej, zdobywając swój pierwszy tytuł Ladies European Tour, dokładając go do trofeum wywalczonego w LET Acces Series i dwóch tytułów WPGA Tour of Australasia. O tym, jak trudne panowały warunki tego dnia, najlepiej świadczy fakt, że oprócz triumfatorki tylko dwie zawodniczki z całej stawki zdołały zagrać rundę poniżej par.

Powrót na AIG Women's Open

Dzięki temu zwycięstwu młoda Australijka awansowała na sam szczyt rankingu LET Order of Merit i zapewniła sobie dopiero drugi występ na arenie wielkoszlemowej, podczas AIG Women's Open, który na przełomie lipca i sierpnia rozegrany zostanie w słynnym angielskim Royal Lytham & St. Annes Golf Club. „Jestem po prostu zachwycona, że udało mi się dzisiaj dotrzeć do mety – powiedziała. - To moje największe i najlepsze zwycięstwo do tej pory. Szczerze mówiąc, nie mogłabym być bardziej szczęśliwa". Triumf był jeszcze bardziej wyjątkowy, biorąc pod uwagę, że jej mama, ciotka, wujek i babcia, która pełniła absolutnie kluczową rolę w początkach kariery golfowej wnuczki, byli obecni w Magenta Shores Golf & Country Club. Oczywiście nie zabrakło tradycyjnego polewania szampanem, które zafundowała koleżance Sarah Kemp – również reprezentantka Nowej Południowej Walii. „Caley nie odpuszczała – relacjonowała Kelsey. - Wiedziałam, że muszę dalej naciskać i że te dwa birdie z rzędu bardzo mi pomogły. Przez całą rundę w zeszłym tygodniu byłam o wiele bardziej zdenerwowana niż dzisiaj. Byłam naprawdę podekscytowana, kiedy się obudziłam, a warunki były naprawdę trudne, bo wiedziałam, że każdy będzie miał szansę. Wiedziałam, że jeśli dobrze będę się trzymać, to wygrana będzie moja, więc to było dobre, ale tak, trochę się trzęsłam po ostatnim putcie, nie będę kłamać!"

McGinty i MacLaren zakończyły tydzień na drugim miejscu z wynikiem dziewięciu uderzeń poniżej par. Trichat Cheenglab z Tajlandii zajęła czwarte miejsce z wynikiem -7, a Diksha Dagar z Indii zakończyła walkę na piątej pozycji, po tym jak mimo koszmarnych warunków w niedzielę zanotowała wynik poniżej par.

Dorota stawia na dobrą taktykę

W turnieju wystąpiła również Dorota Zalewska, zwyciężczyni grudniowej Q-School w Maroku. Tym razem rywalizacja nie poszła po jej myśli, bo po dwóch rundach 75 i pięć uderzeń pod kreską nie dotrwała do gry weekendowej, kończąc na miejscu 96. W czwartek startuje kolejny turniej LET - Women's Australian Open, tym razem po drugiej stronie Australii, w Adelajdzie. „Szykuje się duża impreza, postawiono wielkie trybuny i podobno sprzedały się prawie wszystkie bilety. Pole jest prawie w centrum miasta, pięć minut od lotniska – relacjonowała Szczecinianka dla Polskiego Związku Golfa. - Pole w tym tygodniu jest bardzo ciekawe, wiele dołków gramy z prawie ostatnich tee. Ważna będzie taktyka, zwłaszcza kąty i strzały do greenów. Kolejny tydzień z twardymi, pofałdowanymi i szybkimi linksowymi greenami. Wysokie bunkry z małą ilością piasku i dużo puttowania spoza greenu. Jest świetny duży range i ogromny green do puttowania, więc w końcu nie tłoczymy się i można fajnie trenować" – kontynuowała pierwsza Polka z kartą Ladies European Tour. Pierwszą rundę Dorota rozpoczyna o godzinie 13.48 lokalnego czasu, a więc o 4.18 w Polsce, z dziesiątego dołka, grając razem z reprezentująca Wyspy Cooka Elmay Viking oraz Alexandrą Swayne z Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych.

Powrót do kalendarza LET

Pierwsza edycja Women's Australian Open odbyła się w 1974 roku w Victoria Golf Club. Ostatnio turniej rozgrywany był w 2024 roku, kiedy to wygrywała Koreanka Jiyai Shin. Turniej powraca do Kooyonga Golf Club pierwszy raz od 2018 roku, a w Adelajdzie zawita ponownie po 2020 roku, kiedy to areną był Royal Adelaide Golf Club. To wydarzenie naprawdę dużego formatu w światowym golfie kobiet. Na liście startowej widnieją największe gwiazdy australijskiego golfa, w tym mistrzynie wielkoszlemowe, Minjee Lee, Hannah Green oraz Grace Kim. Turniej wraca do kalendarza LET po raz pierwszy od 2016 roku, podczas gdy poprzednie cztery edycje rozgrywane były wyłącznie pod auspicjami WPGA Tour of Australasia, w latach 2017-20 były to WPGA i LPGA, a 2012-16 WPGA, LPGA i LET. Przed trzecim z czterech tegorocznych australijskich turniejów LET, liderka rankingu Kesley Bennett cieszyła się na kolejne wyzwanie. „Miło jest słyszeć gratulacje od wszystkich, kiedy spacerujesz – mówiła przed narodowymi mistrzostwami. - Pracowałam na to już od dłuższego czasu. To, że udało mi się to osiągnąć, zapewnić sobie kolejne dwa lata w lidze i dostać się do AIG Women's Open – to coś wyjątkowego. Mnóstwo osób pisało do mnie z gratulacjami, co jest naprawdę miłe. To było niesamowite. Nie mam na co narzekać".

Turniej niestety nie będzie transmitowany w Golf Zone, jednak w chwili pisania tego artykułu wciąż istnieje cień szansy na dzienne relacje po każdej z rund. Stacja stojąc przed trudnym wyborem, zdecydowała się na transmisje rozgrywanego w tym samym czasie LIV Golf Singapore z udziałem Adriana Meronka. Warto pamiętać też o PGA Tour i The Players Championship, który od czwartku pokazywać będzie Eurosport 2 i HBO Max.

Kasia Nieciak



Dorota Zalewska kontynuuje australijską eskapadę.

Fot. Marek Damikowski/V5Group

Sport 6445383896